№ 44 Warszawa, dnia 20 Października (1 Listopada) roku 1879.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we **LWOWIE** w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. **W KRAKOWIE** w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Kamoens i Lusyady.

PRZEZ

Sewerynę z Ż. D.

Portugalia obchodzi w tym roku uroczyście, trzechsetletnią rocznicę śmierci, wielkiego swego poety Kamoensa. Cały świat europejski łączy się z nią razem w uczczeniu tego wieszcza; należy on bowiem do tej małéj liczby wybranych, których utwory wykarmiwszy świat ideałem piękna i dobra, zaszczytem są ludzkości całéj.

Jubileusz Kamoensa, dał pobudkę erudycie francuzkiemu, p. Lamarre, do nowego przekładu Lusyad, jak niemniéj do skreślenia nowego studyum, nad życiem i pracami poety. Wielka epopea portugalska niejednokrotnie już tłómaczoną była we Francyi; filologowie francuzcy na wzór niemieckich, uważają za obowiązek ponawiać od czasu do czasu przekłady słynnych w świecie poetów, aby karmić niemi nowe pokolenia, w dostępny dla nich sposób.

Imię Kamoensa, tem sympatyczniejsze dla nas, że wieszcz portugalski żywo przypomina, piękną w dziejach literatury naszéj postać Sebastyana Klonowicza. Obaj zrodzeni w jednymże stuleciu, z równą boleścią śledzili wzrokiem, pierwsze znamiona rozprzężenia swoich gmachów ojczystych, z tą różnicą że Klonowicz dał dowód większéj przenikliwości, dalsze bowiem przewidywał niebezpieczeństwa i pod kwiecistą murawą, spostrzegał potworną gadzinę, jak mówi sam w *Victoria Deorum*:

Gdy wzrok obłędny braci mych ludzi,
Kwietnym kobiercem, słodko się łudzi,
Ja jeden widzę syczącą żmiję,
Co z urąganiem wyciąga głowę
Nad wonnych kwiatów sploty różowe.

Obaj poeci z równą odwagą wypowiedzieli walkę potężnym świata, obaj padli jednako ich ofiarą, obaj dokonali w szpitalu dni udręczonych: pod względem psychicznym żywot ich jednako się rozwija; całą różnicę stanowi tylko odmienny stek wypadków, na jakie popchnęły ich miejscowe uragany.

Kamoens urodził się w Lizbonie w r. 1525, na lat dwadzieścia przed Klonowiczem. Syn niezamożnych rodziców, pobierał nauki w Koimbrze, poczem wrócił do rodzinnego miasta, gdzie oddał się wyłącznie poezyi. Jak Petrarka opisywał on swoją Laurę, lecz nie poważył się nigdy nazwać jéj po imieniu; Dla współczesnych jednak imię to nie było tajemnicą. Ubogi młodzian przypłacił zuchwałą miłość wygnaniem z Lizbony, na wyraźny rozkaz królewski, spędził lat dwa w Santarem. Tam oddalony od ideału swego opisywał żal i tęsknotę, coraz to nową pieśnią. Wreszcie wziął się do poważniejszéj pracy, obmyślił plan Lusyad, nakreślił nawet początek poematu.

Król odwołał wyrok, ale niestety, powrót do Lizbony, stał się dla poety powodem nowych udręczeń. Ukochana weszła w związki małżeńskie, odpowiednie do wysokiego jéj rodu, niezgłębiona jéj przepaść rozłączyła Kamoensa, z przedmiotem gorącéj miłości.

Uniesiony rozpaczą, zaciąga się do służby wojskowéj, walczy w Afryce przeciwko Maurom, traci oko w bitwie pod Ceutą. Ze szramą na licu powraca do Lizbony, tu zamiast spodziewanego tryumfu, napotyka chłodną obojętność. Bez namysłu wsiada na okręt, odpływa do Indyi. Patrząc na brzegi znikające mu przed okiem, powtarza z dumą słowa Scypiona: „Niewdzięczna ojczyzno, nie będziesz miała kości moich!“

Odtąd rozpoczyna się pasmo najdziwniejszych przygód; zliczyć ich wszystkich nie podobna, po gwałtownych burzach morskich, około przylądku Dobréj Nadziei, poeta przybywa na wyspę Goa. Należy późniéj do wyprawy przeciw korsarzom Arabskim, zapędza się za nimi aż na morze Czerwone. Pod żarem słońca równikowego, okrąża długo puste i krajowe wybrzeża. Za powrotem do Goa, patrzy z boleścią na szalony bezrząd, na rozprzężenie obyczajów, chłoszcze ostrą satyrą nikczemne rządy wicekróla Bunetho. Śmiałość tę przypłaca więzieniem, następnie wygnaniem na dalekie wyspy Moluki.

Tam odbiera wieść o skonie ukochanéj, opłakuje ją najrzewniejszą pieśnią. W Goa tymczasem nowy wicekról objął rządy: powołał wygnańca do siebie. Kamoens pośpiesza, ale okręt na którym płynie, zaskoczony burzą, rozbija się na brzegach Cambodz. Biedny rozbitek chwyta za deskę, ile sił walczy z falą, przyciska do piersi skończony już rękopism Lusyad. W takim stanie Chińczycy podjęli go na brzegach Mecom.

Przybył wreszcie poeta do Indyi Portugalskich w 1561. Tu parę lat przebył spokojnie: „Był on z natury wesoły, mówi współczesny biograf, lubił żarty i krotochwile, godne rycerskiego męża, krótko jednakże trwał ten spokój. Ze zmianą wice króla, rozpoczęło się nowe prześladowanie. Oskarżony przed władzą, wtrącony do więzienia, Kamoens usprawiedliwił się wprawdzie, ale pobyt w Goa, nieznośnym był mu odtąd; postanowił przenieść się do Mozambiku.

Tu nowe znalazł udręczenia, nowych napotkał prześladowców: wkrótce do takiéj przyszedł nędzy, że naraz brakło mu odzieży i chleba. Spotkał nakoniec litościwego kapitana okrętu, ten zabrał go na statek i dostawił szczęśliwie do Lizbony.

Smutny to był powrót, po szesnastu latach oddalenia. Miasto świeżo dotknięte zarazą, utraciło przez rok jeden 70,000 ludności. Kraj szybkim krokiem dążył do zguby pod berłem na pół obłąkanego Sebastyana. Przerażony Kamoens obrazem tylu klęsk, dodał do epopei kilka palących ustępów.

Wydrukował ją w roku 1572, nie polepszyło to bynajmniéj losu poety. Jako wysłużony żołnierz, otrzymał on pensyą wynoszącą sto franków rocznie. Przyszedł téż niebawem do ostatniéj nędzy. Sługa jego, Jawończyk Antonio, żebrał co wieczór na ulicach Lizbony; prosił o jałmużnę dla śpiewaka Luzyad. Sąsiadka Barbara, uboga przekupka, przyłożyła mu czasem jakąś resztkę ze swego stołu. Czasem ktoś zażądał od poety, jakiegoś czułego sonetu za talara, ale pióro wypadało mu z ręki nie mógł skreślić kilku wierszy za najem. W krótce upadł na siłach. Śmierć poczciwego Antonia zadała mu cios ostatni.

Przeniesiono go do szpitalu. Dogorywał już, kiedy doszła do Lizbony wieść o klęsce króla Sebastyana, poległego w walce z Maurami. „Dzięki Bogu! zawołał poeta, i ja wnet zamknę oczy, drogą mi była ojczyzna, szczęśliwy też jestem że umieram na jéj łonie, że umieram z nią razem.“ Jakoż skonał w parę miesięcy potem, w pięćdziesiątym piątym roku życia. Pochowano go w kościele Ś-téj Anny; żadna przecież ręka życzliwa nie uczciła go najskromniejszym pomnikiem. Nieszczęśliwy za życia i w grobie nawet nie miał znaleźć spokoju. W dwieście lat potem, podczas trzęsienia ziemi, gruzy zwalonego kościoła, przytłoczyły grób wielkiego poety; przez lat ośmdziesiąt nikt nie pomyślał aby wydobyć prochy Kamoensa z pod zwalisk. Nastąpiło to wreszcie w roku 1836, za staraniem ówczesnego poety, don Felicyano de Castilho: Portugalczycy uczcili pysznym pomnikiem narodowego wieszcza, któremu zawdzięczają tyle chwały.

Rzućmy teraz okiem na Lusyady, dziś niestety znane ledwie z tytułu Epopea cała głębokim nacechowana patryotyzmem. „Nie chcę ja, mówi poeta, opiewać chwały Ulyssesa ani Eneassa, Aleksandra ani Trajana. Milcz starożytna Muzo! przedmiotem pieśni mojéj waleczne Luzytany! Nymfy Tagu! zapalcie w méj piersi iskrę nową; zbudźcie w niéj nowy głos, grzmiący jak dźwięk bojowéj trąby; dajcie mi geniusz godny bohaterskich czynów mego ludu.“

Po gorącéj odezwie do młodogo króla Sebastyana, w którego szerokich dziedzinach, promień słońca nigdy nie zachodzi, Kamoens rozpoczyna poemat. Flota Vasco de Gamy, sunie po falach oceanu, wiatr pomyśluy trąca rozpięte żagle. Tymczasem bogowie mleczną drogą, śpieszą na olimpijskie wyżyny: tam czeka ich Jowisz na promienistym tronie, z dyamentowem berłem w ręku. Bogowie, boginie przybywają na radę otaczają podnoże gromowładcy. Jowisz przedstawia bogom, zasługi Luzytanów, ich niezłomną wytrwałość i mozoły postanawia nagrodzić darem Indyi wschod nich. Tu napotyka silny opór. Bachus pogromca Indusu trzyma w mocy kraj nad Gangezem; on praw swych nie ustąpi Luzytanom. Mars przeciwnie, sprzyja dzielnym ludom z nad Tagu; Wenus nie mniéj upodobała ich sobie: widzi w nich synów staréj Romy. Nieśmiertelni spierają się zawzięcie, aż ziemia drży w posadach, przemógł nakoniec Jowisz, śle Merkurego ku żeglarzom: on wskaże im zielony przylądek, gdzie odpoczną po trudach zanim puszczą się w dalszą drogę.

Pokonany Bachus nie składa jednak oręża, postanawia walczyć podstępem. Co żywo zbiega na ziemię; w postaci starego Maura, staje w Mozambiku w obec szeików arabskich, podżega ich przeciw chrześcianom, zbliżającym się właśnie do wybrzeży. Wre walka, Luzytanie górą: ale zawzięty Bachus wciąż zagradza im drogę. Pieśń pierwszą kończy poeta, żałosnym wykrzyknikiem boleści:

Na morzu odmęt, wicher dmie wściekły,
Z paszczą rozwartą krąży śmierć blada;
Na ziemi strugi krwi z żył pociekły,
Wszędzie przewrotność, gwałty i zdrada.
Na grzbiety nasze spadło klęsk tyle,
W przyszłość jakiemiż podążać szlaki?
Jak krótką życia przebędziem chwilę,
Pod klątwą niebios ziemskie robaki?

W drugiéj pieśni flota podąża ku Mombuzo. Vasco de Gama chce spocząc na téj wyspie, pewien że się znajdzie w pośród chrześcian. Niestety! wieść o fałszywa; panami wyspy nienawistni Maurowie. W pośród nich gości Bachus, podżega ich do zdrady. Aby zgubić przybyszów, Szeikowie przygotowali dla nich świetną ucztę. Vasco de Gama, rozkazuje flocie wpłynąć do portu; ale cóż to... okręta stoją murem, ludzka siła poruszyć ich nie może.

Coś zakipiało w ciemnéj głębinie,
Bieluchna piana wstęgą się toczy,
W tem grono dziewic z głębi wypłynie,
Łuna od złotych bije warkoczy,
Srebrzyste skrzela pluszczą po fali,
Różami kwitną dziewic oblicza,
Stanęły nawy... nie pomkną daléj,
Trzyma je w miejscu moc tajemnicza.

To Nereidy, Wenus życzliwa Luzytanom przywiodła tu ich orszak, sama zaś przez lazury pomknęła na wyżyny Olympu, błaga Jowisza o łaskę dla żeglarzy ściganych zemstą Bachusową. Prośba ich nie daremna. Merkury zbiega na ziemię, staje przed sennym Gamą. „Uciekaj zawoła, od tych strasznych wybrzeży; płyń ku Melindzie, tam król obsypie cię darami, ukaże ci drogę do Indyi!“

Wódz wyprawy pośpiesza za głosem tajemniczym, staje u brzegów Melindy. Wieść o Luzytanach dobiegła już do króla. Rad że pozna lud bohaterski, władzca wyspy, pośpiesza na spotkanie. Gama hojnie ugoszczony, opowiada dzieje ziemi ojczystéj. Nasamprzód kreśli obraz wszystkich europejskich ludów, zaczyna od północnéj Skandynawii; na wschodnim brzegu morza Surmackiego, ukazuje siedziby Rusinów i Polaków, zwanych niegdyś Markomanami. Ztąd pomyka na greckie wybrzeża. W kilku słowach opiewa chwałę starożytnéj Helady, a następnie Romy wszechwładnéj pani świata. Z Italii przez Francyą i Hiszpanią, dosięga wreszcie swojéj drogiéj kolebki. Zowie Luzytanią czubem głowy europejskiéj, po za nią już nic... tylko fale oceanu, w których słońce zanurza się wieczorem.

Z dumą narodową, poeta w pieśni trzeciéj, opowiada przez usta Gamy królowi Melinda dzieje drogiéj mu Luzytanii, wiekowe jéj zapasy z Maurami, wielkie ofiary, wielkie cnoty jéj królów nie przemilcza i wielkich zbrodni. Do najdramatyczniejszych ustępów, należy skon Inezy de Castro, małżonki królewicza Piotra, synowéj don Alonza.

Stawią przed królem Inezę Katy,
Litość powstała w Alonza duszy,
Lecz dworska tłuszcza, chce jéj zatraty,
Woła o pomstę, żąda katuszy.
Stoi niewiasta jak listek drżąca,
W oblicze śmierci spojrzeć niełatwo!
Łza z pod jéj powiek płynie gorąca,
Płacze nad mężem, płacze nad dziatwą.

Piękne ku niebu podniosła oczy,
Ach! oczy tylko rąk wznieść nie może,
Konopny powróz silnie je troczy,
Potem na dziatki popatrzy hoże,
Uśmiech jéj usta ożywi słodki,
I chmurą z czoła na chwilę spada,
Patrzy na swoje biedne sierotki,
I tak zagadnie króla ich dziada.

„Widziano zwierza w kniei leśistéj,
Widziano orła na skały grzbiecie,
Jak cieniem pieczy swej macierzystéj,
Osierocone słoniły dziecię.
Tak było w pasmie wieków dalekiem,
Gniazdo Ninusa świata wiadome,
Sroga wilczyca karmiła mlekiem
Braci co mieli zbudować Romę.

A ty o panie! ludzkie masz serce,
Naród twe imię wymawia z cześcią,
Mamy cię nazwać ludzkim mordercę,
Jeźli wytoczysz dziś krew niewieścią!
Gdy tem sierotkom matki nie stanie,
O! niech śmierć moja gniew twój rozbroi!
Ty ich niewinność uszanuj Panie,
Otocz je skrzydłem opieki twojéj!

„A jeśli królu ogniem i mieczem,
Wypłaszasz Maury z ojców dziedziny,
Zaliż w twem sercu nie drgnie człowieczem,
Litość nade mną, gdym ja bez winy?
W scytyjskie lody zagnaj mnie raczéj,
Wypędź na skwarne Libii pustynie,
Tam dni dokonam w doli tułaczéj,
Tam się mój żywot łzami rozpłynie!

„Ani zgłodniałe tygrysów paszcze,
Ni lwie pazury mnie nie przerażą,
Zbudzę w nich litość, gniew ich ugłaszczę,
One niewinnéj tknąć się nie ważą.
Tam z dni ubiegłych tkanki splątanéj,
Wysnują strzępkę niekiedy złotą,
I niezgojone w mem sercu rany,
Ukoją sierot słodką pieszczotą.“

Serce nie kamień! prośba je skruszy,
Król słowo łaski niebawem rzecze,
Stary Alonza przebaczył w duszy,
Nagle w powietrzu zaszczękły miecze:
„Śmierć! śmierć jéj!“ tłuszcza krzyknie szalona,
Parta morderstwa i pomsty żądzą,
Przed okiem króla, gwałt się dokona,
Ofiara padnie! zmilkł don Alonzo!

Na bok odwrócił oczy z odrazą,
Rumieńcem wstydu czoło mu spłonie,
A okrutnicy twarde żelazo,
W alabastrowem utkwili łonie,
I krew wytrysła, cieszy się piekło,
Liczy z tryumfem ziemskie szkarady,
O słońce! słońce! tyś nie powlekło
Oblicza twego rąbkiem mgły bladéj!

Jak polny kwiatek w dziewiczéj dłoni,
Różową główkę pochyla ścicha,
Już nie wybuchnie kłębami woni,
Wpleciona do wianka rychło usycha,
Tak z lic Inezy ubiegła krasa,
Niby lilijka padła pod kosą,
Ostatni życia promyk dogasa
W oku zwilżonem łez świeżą rosą.

Płaczą umarłéj dziewy z Mondego,
Na grób zbiegają wiosną i latem,
Cichéj mogiły troskliwie strzegą,
Murawę krasnym oplotą kwiatem,
I z pod jéj powiek zbiegło łez tyle,
Płaczą tak rzewnie, płaczą tak długo,
Aż trysła rzeczka tuż przy mogile,
Zwana od wieków *miłości strugą*.

W czwartéj pieśni poeta podejmuje wątek współczesnych sobie dziejów: Vasco de Gama, opowiada królowi Melindu, co skłoniło króla Emanuela do przedsięwzięcia dalekiéj wyprawy, któréj dowództwo mu powierzono. Już rodzic królewski Jan, poglądał pilnie w stronę zkąd słońce wschodzi, zkąd roze-

słał był gońców za dalekie, nieznane morza, do źródeł Tygru i Eufratu. Żaden goniec nie wrócił. Berło wypadło z martwéj prawicy Jana; podjął je Emanuel, a wraz z niem odziedziczył wielki zamiar ojcowski.

Na złotym tronie król odpoczywa,
Sen mu rozpostarł skrzydła nad czołem,
Ale rozpieszchłe marzeń ogniwa
Myśl w złoty łańcuch jednoczy społem.
Oko przyćmione zwartą powieką,
Lecz serce wiernie sprawuje czaty,
A myśl wybiega w przestrzeń daleką,
Za sine morza, w nieznane światy.

Uczuł jak nagle wyrosł w olbrzyma,
O strop niebieski opiera głowę,
Z wyżyn niezmiernych objął oczyma
Nowe krainy i ludy nowe.
Tam gdzie się rodzą brzaski przedświtu,
Dwie góry czoła skryły w obłoki,
A po ich grzbiecie w łożach z granitu,
Dwa kryształowe pędzą potoki.

I oto z łona wód wynurzają się dwa olbrzymy, dwaj starce, z licem ogorzałem, z białą długą do pasa brodą; obaj zwieńczeni w korony z traw i liści nieznanych.

Wielkim krokiem przystępują do króla. Jeden z nich Ganges, drugi Ingus, obaj zginają przed nim czoło. Pod berło Emanuela oddają ludy powierzone ich straży.

Król budzi się, zrywa z łoża, powołuje Vasco de Gamę, mianuje go wodzem wyprawy, o jakiéj świat dotąd nie słyszał. Wszystko gotowe już do drogi; różnobarwne flagi kołyszą się na wietrze. Każdy jedna się z Bogiem śmierć bowiem wiecznie furkocze skrzydły przed oczyma żeglarza. U stóp Betlejemskiéj bazyliki, któréj wzręby kąpią się w morzu, następuje wreszcie pożegnanie. Osierocone niewiasty, głuchym zawodzą jękiem.

Żałosna matka co tchu przybieży,
Ręce do syna wyciągnie obie:
— „Tyś był podporą staréj macierzy,
Przyjdzież mi biednej płakać po tobie?
Morskie cię fale schloną bez chyby,
Lub cię słoneczna spali spiekota,
Ciało twe zszarpią żarłoczne ryby,
Co ja bez ciebie pocznę sierota?“

Żona w rozpaczy włos ciemny targa,
Do męża tuli głowę zbolałą,
Z ust jéj żałosna wybieży skarga:
— „Gdzie szczęście moje, gdzież się podziało?
Słodko ja przędłam dni wątek złoty,
Przyszłość mi jasną błysła nadzieją,
Bez ciebie drogi umrę z tęsknoty,
Kwiat mego szczęścia wichry rozwieją!“

W pieśni piątéj Vasco kreśli obraz przebytéj drogi; jaskrawemi barwy maluje naprzód maurytańskie miasta, ich pałace i minarety, odbite w falach oceanu; daléj lesistą Maderę, Hesperydy i wyspy szczęśliwe, potem wybrzeża Congo, rojowiska czarnych jak noc Murzynów.

Opowiada wreszcie, świeże przygody z Maurami, ich zdrady i podstępy. Król Melindu bierze do serca każde słowo, uniesiony podziwem dla bohaterskich Luzytanów, poprzysięga ich władzy wieczną miłość i zgodę. Następują wspaniałe uczty, ale czujny Vasco zna dzieje Anibala; wyspa Melinda nie będzie dlań Kapuą. Korzystając z pomyślnego wiatru, rozwija żagle, pośpiesza na wschód ku Indyom.

Podczas gdy Luzytanie ucztują w pałacu gościnnego króla, inna uczta stokroć wspanialsza, odbywa się w głębinach oceanu, w pałacu Neptuna o kryształowych basztach, o złotych podwojach wysadzanych perłami. Poeta opisuje te cuda z niesłychanem bogactwem wyobraźni. Tam w pośród ucztujących bogów i bogiń morskich, w sali buchającéj wonią kadzideł, zjawia się nagle Bachus: błaga Neptuna o pomoc przeciwko zuchwałym Luzytanom. Neptun przyrzeka wsparcie: wnet rozprzęże z uwięzi wichry i straszliwe cyklopy.

Powróciwszy z poetą na ziemię, noc rozpostarła gwiaździsty płaszcz nad światem, wiatr pomyślny popycha żagle; flota mknie hyżo po falach. Brzask zaświtał, a oto rozlega się przeraźliwy pogwizd sternika, majtkowie spieszą na hasło, zwijają żagle, przytwierdzają drabiny. Czarna chmura wybiega z po za widnokręgu, rozpościera szeroko skrzydła, z czterech stron świata zaryczą na raz cztery wichry, Alcyon z Borcasum, Auster z Akwilonem ścierają się jak rozszalałe buhaje, jeden drugiemu nie ustąpi. Fale piętrzą się coraz wyżéj, szamoczą okrętami, to podrzucą je pod obłoki, to strącą w otchłanie oceanu. Chmura zakrywa całe niebo, błyskawice migocą niby ogniste węże, piorun uderza za piorunem. Vasco de Gama nie rozpacza, nie traci głowy, gromadzi rycerstwo, upada na kolana, zasyła modlitwę ku Przedwiecznemu. I burza zwija skrzydła, wichry milkną, słońce wybiega z po za chmur, brzegi Indyi błysły przed oczyma żeglarzy.

W siódméj pieśni poeta wymienia różne plemiona rozsiadłe na przestrzeni między Indusem a Gangesem: ukazuje Bengalczyków, zawołanych oraczy; inne ludy karmiące się tylko wonią kwiatów, Kambodzów zaprawnych do oręża; Narzyngów bogatych w złoto, lecz ubogich w rycerskie cnoty. Jednym rzutem pióra, określa te ludy, znać że je widział że umiał na nie patrzeć. Opisuje wreszcie brzegi Malabaru i stołeczne miasto Kalkutę, jéj świątynie i potworne bożyszcza, pałac zniewieściałego władzcy. Vasco de Gamo, odwiedza króla, wyprowadza ministrów na brzeg morski, ukazuje im wspaniałą flotę przystrojoną w barwiste flagi. Szczegółowy opis tych chorągwi malowanych w godła i sceny historyczne, żywo nam przypomina *Proporzec* pruski Jana Kochanowskiego z którego poeta wysnuwa całe dzieje krzyżackiego zakonu, od czasów krucyat, do chwili kiedy książę Albert, schyla ów proporzec na znak hołdu, u nóg ostatniego z Jagellonów.

Dwie pieśni poświęca Kamoens, na opis tych licznych chorągwi, byłoby ich więcéj, dodaje w końcu ale malarzom zabrakło farb i pędzli, na oddanie bohaterskich dzieł praojców naszych. Świetny ten popis, naraził flotę na wielkie niebezpieczeństwo. Król Malaboru przerażony potęgą Luzytanów podżeganych we śnie przez Bachusa, postanawia wyciąć ich do nogi, powołuje już wojsko. Przezorny Gama, odpływa potajemnie, jak niegdyś Noe do arki, tak on zabiera na okręta próbki flory i fauny nadgangeskiéj, wywozi niemniéj do Lizbony kilku bogatych kupców z Malabaru.

Na pełnym oceanie, miła niespodzianka czeka luzytańskich żeglarzy. Przychylna im Wenus, zwołuje wszystkie Nereidy otaczające tron Neptuna; gromadzi legiony amorków, pociąga okręta na rozkoszną wyspę miłości.

Całą dziewiątą pieśń poeta poświęca tem czarodziejstwom. Obrazy jego pełne wdzięku, w jednym maluje wnętrze kuźni, grupy amorów krzątają się, kują łuki i strzały, z pieców wybucha ogień, podsysany w miejsce łuczywa, drgającemi sercami, zamiast wody do hartowania strzał, kipią w kotłach łzy nieszczęśliwych kochanków.

Pomijamy inne obrazy: cała ta mythologiczna fantasmagorya, dziś tak zużyta, miała w szesnastym wieku świeży urok nowości. Chcąc sądzić dawnych mistrzów, musimy przenieść się myślą w ich epokę, patrzéć na nich oczyma współczesnych, a nie mierzyć ich miarą dzisiejszych pojęć.

Najniesłuszniéj według nas, jeden z nowych krytyków, powątpiewa o prawdzie uczuć Jana Kochanowskiego, czemu? oto że w Trenach na śmierć Urszulki, wspomina nieprzebłaganą Persephonę! Na takie zarzuty odpowiada bogini Thetis w poemacie Kamoensa, ukazując niebo Vasco de Gamie. „Tam rzecze mieszka Bóg, źródło wiekuiste życia i prawdy my krążym w świecie zmyślenia dla użytku poetów.“ Jeżeli dzisiejsi wieszczowie, omijają z pogardą ów świat zmyśleń, inaczéj było w szesnatym wieku. Przebaczmy więc Janowi z Czarnolasu, że otoczony inną od naszéj atmosferą wspomniał imię bogini dziś ośmieszone, które w jego czasie było prostym symbolem śmierci.

W dziesiątéj a ostatniéj pieśni, Syrena przepowiada Luzytanom przyszłe ich tryumfy w Indyach. Pełni otuchy opuszczają rozkoszną wyspę, wiatr pomyślny popycha okręta ku ojczystem wybrzeżom. Odezwą do króla i dostojników koronnych zakończa Kamoens nieśmiertelny swój poemat. Z całem poszanowaniem, rzuca on w oczy wielkim świata, zbawienne ale gorzkie prawdy. W tym to ostatnim wstępie, żywo przypomina Klonowicza, obaj poeci drogo przypłacili swą śmiałość.

Według świadectwa współczesnych, wielka epopea żywo poruszyła umysły, sądzimy jednak że Portugalczycy, odczuli dopiero w pełni wartość poematu, kiedy twórca jego położył głowę w grobie, inaczéj byliżby mogli patrzéć obojętnie, na głód i nędzę wieszcza narodowego. Klęski kraju zresztą, mogły chwilowo odwrócić uwagę od arcydzieła. W rok po śmierci Kamoensa w r. 1580, Portugalia straciła niepodległość: Filip II-gi podbił ją i przyłączył do Hiszpanii.

Francuzki tłomacz Luzyad p. Lamarre, poprzedza poemat zarysem historycznym, wyświetla w nim wielki udział Portugalczyków w sprawie cywilizacyi powszechnéj; opisuje ich żeglugi i odkrycia, w śród których wyprawa Vasco de Gamy, unieśmiertelniona pieśnią Kamoensa, najwspanialszym świeci blaskiem. Żywemi barwy maluje autor bohaterski charakter tego ludu; przytoczmy tu rys jeden. Jan de Castro, wice król Indyi, pragnął odbudować fortecę Diu lecz zbrakło mu pieniędzy. Pisze więc do zarządu portugalskiego na wyspie Goa prosząc go o pożyczkę posyła w zakład swoje wąsy. „Kazałem, mówi on, odgrzebać zwłoki mego syna, zabitego przez Maurów; chciałem posłać wam kości jego, jako bezpieczną rękojmię, lecz w stanie w jakim są wydobywać ich z ziemi niepodobna. Diego Rodriguez de Azavedo złoży wam wąsy moje. Nie posiadam nic jak wiecie, ani dóbr ziemskich, ani kosztowności na których mógłbym ubezpieczyć pożyczkę. całem bogactwem mojem szczerość, którą otrzymałem w darze od Boga.“

Bohaterstwo Portugalczyków, nie zdołało uchronić ich od zguby, ale co w danéj chwili pozwoliło im odzyskać straconą niepodległość.

Do Mojéj doli.

PRZEZ

Tomasza Olizarowskiego.

Uśmiechy twoje dziwne moja dolo,
Z pamięcią moją niekiedy swawolą,

Miła swawola zącóż bywa tylko
Marną igraszką a przelotną chwilką,
Zacóż od westchnień, które sama budzi,
Pierzcha jak dzika ptaszyna od ludzi?

Tak podróżnemu w pustyni, wśród głuszy,
Dziwnym sposobem, nie tym co ma w duszy
Pamięć człowiecza odezwą się dzwony,
Miłem domowéj przypomnieniem strony,
I tak w snu dziwach nieraz ujrzy człowiek
O czem nie myślał przed zmrużeniem powiek.

Ale co ujrzy, co tam ujrzy dusza,
W tym śnie bezjutrznym który się nie rusza?
I co posłyszy ach! co tam posłyszy
W téj nigdy niczem nie przerwanéj ciszy,
Rychłoż tam ze mną słodko poswawolą
Uśmiechy twoje dziwna moja dolo!

Mąż Zuzanny.

NOWELLA

przez Jerzego Vautiér.

(Dalszy ciąg).

IV.

Dziś rano otrzymałem twój list, datowany w Rennes. Jakże surowy w nim jesteś. Opowiadasz mi, że przed wyjazdem z Paryża widziałeś się z Felicyanem i że użalał się przed tobą na mnie, napomykając przytem o pewnych podejrzeniach jakie żywić mam przeciw jego osobie. Ty się też gniewałeś i korzystając ze sposobności, palnąłeś sążniste kazanie na temat przyjaźni. Dobry z ciebie kaznodzieja, ale za bardzo pochopny do potępienia. Wysłuchaj i osądź.

Po powrocie naszym z Włoch, Felicyan przyjechał na kilka dni do Sauves, zachwycający się każdem dzieckiem jakie przypadek nasunie mu przed oczy. Po raz setny powtarzam mu: „Żeń się!" a on po setny raz odpowiada mi: „Zapóźno! minęła już dla mnie stosowna pora..." Mówił mi daléj, że będąc dostatecznie majętnym, aby potrzebował oglądać się za klientelą, poświęcił się wyłącznie badaniu chorób dziecinnych, a tym sposobem zapewnił sobie możność ciągłego przebywania wśród ukochanego przez siebie maleńkiego świata nie zdziwił mnie też pospieszny przyjazd jego, skoro dowiedział się o przyjściu na świat mojego syna. Miał nadzieję że będzie do chrztu trzymać, ale już zaprosiliśmy na ojca chrzestnego jednego z wujów mojéj żony; dowiedziawszy się o tem odjechał w prawdziwéj rozpaczy. Za przybyciem naszym do Paryża, zjawił się znowu i ofiarował się czuwać nad zdrowiem Piotrusia, który miał się jak można najlepiéj.

Zezwoliłem na to ze śmiechem. Od owéj chwili stał się codziennym gościem u nas, co wielce bawiło Zuzannę i panią de Haintenois, nie mogąc dosyć nadziwić się gorliwości starego kawalera w odgrywaniu roli ojca; ja sam z początku, nie miałem nic przeciwko temu i myślałem sobie: To już takie dziwactwo jego.

Pewnego dnia, szczególna myśl przeszła mi przez głowę! odepchnięta wracała znowu. Opierałem się jéj, chciałem walczyć; wszystko napróżno; to co w pierwszéj chwili uważałem za rzecz zwykłą, zaczęło mnie dziwić i niepokoić. Nie miałem odwagi zdradzić moich podejrzeń, sam przed sobą wyznać ich nie chciałem, przyjmowałem wszakże Felicyana ozięble z twarzą pochmurną, w nadziei że może sam się domyśli; nie zrozumiał mnie jednak, czy też nie chciał zrozumiéć. Nareszcie w zeszłym tygodniu, gdy odchodząc zapowiedział że powróci nazajutrz, zdecydowałem się nagle i rzekłem do niego, nie bez zająknienia wszakże:

— Po co masz jutro przychodzić? przecież Piotruś zdrów jest.

Spojrzał na mnie zdziwiony. Odwróciłem oczy aby nie wyczytać wyrzutu w tem spojrzeniu.

— Co mam przez to rozumiéć? Czy uważasz że wizyty moje są zbyt częste?

Tyle prawości przebijało się w jego wzruszeniu, że uczułem szaloną żądzę uściskania go; ale w téjże chwili doleciał mnie głos Zuzanny z salonu a więcéj też nie było potrzeba aby odżyły moje podejrzenia. Nie wiem co odpowiedziałem Felicyanowi. Starałem się mu wytłomaczyć, że żona moja jest za młoda i za piękna, aby poufałość taka mogła trwać dłużéj, bez narażenia jéj na złośliwe języki ludzkie. Plątałem się i nie mogłem wybrnąć, Felicyan słuchał mnie z całą uwagą.

— Chcę wiedzieć wszystko, przemówił kiedym skończył, czy ci kto o tem wspominał?

— Nikt.

— A więc ty sam podejrzywasz mnie?

— Nie mam żadnych podejrzeń, kłamałem, i nie w ten sposób przemawiałbym gdybym miał był urazę jakąś do ciebie, ale obowiązkiem jest moim chronić żonę od pocisków obmowy.

Wzruszył tylko ramionami i odszedł; widziałem dobrze że odpowiedź moja nie wydała mu się szczerą i wstyd mi się zrobiło przed samym sobą. Nazajutrz nie przyszedł i nie pokazał się już więcéj.

Kilka dni następnych przebyłem w ciągłéj niepewności; to winszowałem sobie żem się zdobył na taki krok stanowczy, to znów czyniąc sobie gwałtowne wyrzuty. List twój, szczerze ci wyznam, wzruszył mnie głęboko ale i skłonił zarazem do ponownego rozmyślania. Zapewne nie przypuszczam aby Felicyan zdolnym był do zdrady, obliczonéj z góry, ale z własnego wiem doświadczenia, jakie następstwa wynikają z podobnego zbliżenia się i czego obawiać się można. Robisz mi wyrzuty że nie zaufałam jego przyjaźni i na potępienie moje to jedno tylko znajdujesz: „Przyjaciel od lat dwudziestu."

Przyjaciel! zapomniałeś więc, że i ja byłem przyjacielem męża Joanny, że przyjaźń nasza datowała się od lat dziecięcych?

Wytłomacz to, jeśli możesz i odpowiedz mi, jeśli zdobędziesz się na tyle odwagi.

V.

Napróżno szukałem w długiéj twojéj repprymendzie oczekiwanéj odpowiedzi. Mówisz mój kochany, jak kawaler, ale my, żonaci, zupełnie inaczéj zapatrujemy się na te sprawy. Pytasz się, czego mi braknie do szczęścia? Niczego mi nie brak, mam wszystko co zapewnić może prawdziwe szczęście; wyrzucam sobie jednak moją przeszłość, lękam się abym nie został za nią ukarany.

Mając lat dwadzieścia pięć, będąc zakochanym, usprawiedliwia się człowiek siłą namiętności, przykładem inych, licznemi pokusami napotykanemi na każdym prawie kroku; o przyszłości nie myśli się; zakochać się w cudzéj żonie, zyskać jéj wzajemność wydaje się wówczas rzeczą najzwyczajniejszą w świecie. Późniéj dopiero, ożeniwszy się, siedząc pomiędzy własną żoną i dzieckiem, kiedy się już poznało całą potęgę uroczą małżeństwa przekonywamy się, myśląc o przeszłości, jak nieszlachetnem było nasze postępowanie.

Pierwszy raz przyszło mi to na myśl w Sauves, po powrocie naszym z Florencyi i czułem się tak szczęśliwym iż ogrom tego szczęścia przerażał mnie; pomyślałem, że nadejdzie może dzień w którym zmuszony będę stanąć w jego obronie przeciw nikczemnym zamachom jakiego romansowego próżniaka, co w braku innego zajęcia, zechce lekkomyślnie zakłócić mi je z bezwstydną zarozumiałością. Odtąd złowieszcza myśl ta, nie daje mi chwili spokoju. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, rozumiesz mnie, prawdziwe wyrzuty sumienia. Doznaję ich gdy sam zostawszy mężem i ojcem, zacząłem napawać się rozkoszami, jakich dawniéj pozbawiałem innych nie mając pojęcia o ohydzie wyrządzonéj im krzywdy. Ach gdyby młodość wiedziała! Dziś tak dalece poczuwam wielkość mojéj winy, iż strach mnie przejmuje na samo wspomnienie o zasłużonéj karze. Oceń moje położenie i powiedz że przesadzam. Bronię się ile mogę przeciw napastującym mnie myślom wszystko co ty mi mówisz powtórzyłem już sobie ze sto razy. Zuzanna nie jest kokietką, zacne i uczciwe ma serce, kocha mnie szczerze czegóż miałbym się obawiać. Przed chwilą właśnie, z twoim listem w ręku, zadawałem sobie głośno pytania jakiemi chciałeś mnie uspokoić:

— Jesteś przecież dobrym mężem dla twéj żony?

— To prawda, jestem nim, ale przeklęta pamięć moja, dodaje natychmiast:

— Mąż Joanny również był dobrym dla swéj żony?

— Nie jesteś pewnym miłości Zuzanny?

— Jestem przekonany że mnie kocha, ale i Joanna kochała swego męża.

— Dla czegóżby twoja żona miała przekładać pierwszego lepszego nad ciebie? Jestżeś brzydki, głupi, nieznośny?

— Zapewne że nie, ale dlaczego Joanna przełożyła mnie nad swego męża, który sto razy więcéj był wart ode mnie, co sam przyznać muszę?

Utrzymujesz że nie masz żadnego usprawiedliwienego powodu do obaw; podzielam i ja w zupełności twoje zdanie, ale w tenczas tylko, gdy przypadkiem uda mi się zapomniéć na chwilę o przeszłości, a tem samem bez uprzedzeń ocenić położenie. Lecz dajmy już temu pokój. Papier się już kończy i zostaje mi zaledwie tyle miejsca aby napisać ci że przedwczoraj spotkałem Felicyana. Podszedłem ku niemu i uścisnąłem go za rękę; byłem tak zmieszany, że nie wiedziałem iż odgadł znaczenie tego uścisku. Czy jesteś zadowolony ze mnie? Pomimo to jednak nie był jeszcze u nas, czem mnie wielce zobowiązał. Śmiejesz się? ale cóż robić, nie spodziewałeś się przecież wyleczyć mnie odrazu?

VI.

Cały miesiąc niczem nie zakłóconego spokoju, prawda że czynię postępy? Sądziłem że ów dawny ja, zamarł już we mnie; niestety, ostatniemi dniami zbudził się na nowo. Długą historyą mam ci do opowiedzenia; chciałeś zostać moim spowiednikiem sam sobie więc przypisz winę jeżeli cię nudzę.

Zeszłego czwartku wychodząc z ministerstwa sprawiedliwości, gdzie byłem w interesie jednego z moich krewnych, spostrzegłem na placu Wendome Felicyana. Było to około godziny trzeciéj po południu; o téj porze właśnie Zuzanna wyprowadza codziennie Piotrusia na świeże powietrze do ogrodu tuileryjskiego. Felicyan szedł szybkim krokiem w kierunku ulicy Castiglione. Jakieś niezwalczone uczucie ciekawości, skłoniło mnie że poszedłem za

nim, przybywszy do ogrodu uszedł kilka kroków główną aleją, następnie spojrzał na zegarek i rzucił się na lewo, bacznie rozglądając się wśród mnóstwa dzieci, bawiących się w téj części ogrodu. Widocznie szukał kogoś i był pewnym że go znajdzie a może nawet zwykł się z nim schodzić w tem miejscu. Naraz widzę że schyla się, bierze jednego chłopczyka na ręce i całuje go; był to Piotruś. Skryłem się za drzewo jak złoczyńca czatujący na swoją ofiarę. O dwadzieścia kroków ode mnie Felicyan pieścił się z moim synem, który skakał mu na rękach i chichotał głośno. Piastunka siedząca dotychczas na ławce wstała i podeszła ku nim. Ale gdzie była Zuzanna? Naprożno szukałem jéj oczyma i nie widząc nigdzie ucieszyłem się w pierwszéj chwili: chłodne przecież zastanowienie szeptało mi jednocześnie: czeka na nią bezwątpienia, ona niebawem nadejdzie. W dręczącem oczekiwaniu, nie spuszczałem z oka Felicyana; wyciągnął z kieszeni pakiecik z łakociami i uraczył niemi Piotrusia a pobawiwszy się z nim jeszcze jakiś czas, posadził go na ławce a sam oddalił się pośpiesznie w kierunku głównéj alei, oglądając się kilkakrotnie za dzieckiem które różowemi swemi paluszkami przesyłało mu pożegnalne całusy. W téj chwili spostrzegłem że piastunki spoglądają na mnie, podejrzliwie, szepcząc coś między sobą: zrozumiałem śmieszność mego położenia i odszedłem w przeciwną stronę.

Chodziłem długo bez celu, nie mogąc uspokoić opanowującego mnie wzruszenia. W gruncie rzeczy to co widziałem przed chwilą, nie miało w sobie nic zatrważającego; znając zwłaszcza dziwactwo Felicyana, trudno było gniewać się na niego że przyszła mu ochota uściskać mojego syna. Niektóre jednakże szczegóły téj sceny nasuwały mi podejrzenia, że powtarza się ona codziennie. Zuzanna tymczasem nigdy mi o tem nie wspominała; istniała więc pomiędzy nią a Felicyanem wspólna tajemnica, o któréj ja nie wiedziałem. A oprócz tego gdzie ona się znajdowała, czemu nie była przy Piotrusiu?

Nazajutrz żona moja, o zwykłéj godzinie wybrała się z dzieckiem do Tuilerów. W kilka chwil późniéj poszedłem wślad za niemi. chcąc się przekonać, czy Felicyan przyjdzie znowu, i czy Zuzanna oddali się tak samo jak wczoraj. Kiedy jednak ujrzałem już wierzchołki olbrzymich kasztanów, wstyd mnie ogarnął i wróciłem do domu. Około godziny piątéj wróciła i Zuzanna; z największym spokojem, na jaki zdobyć się mogłem, zapytałem ją:

— Byłaś z Piotrusiem w ogrodzie?

— Rozumie się.

— Nie oddalałaś się wcale od niego?

— Załatwiłam tylko kilka sprawunków w okolicy.

A więc codziennie odchodziła o téj saméj godzinie. Niestety, aż nadto wiem dobrze, jaki wyborny pretekst mają kobiety w załatwianiu drobnych sprawunków domowych, wyłączną pieczę których tak zręcznie przy sobie zatrzymały.

Następnego dnia obudziłem się więcéj niż kiedykolwiek niespokojny. Żeby raz już położyć koniec mym udręczeniom, postanowiłem nie krępować się żadnemi względami delikatności i użyć wszelkich możebnych środków dla wykrycia prawdy. Wyszedłem z domu wcześniéj pod pozorem licznych interesów na mieście. O godzinie trzeciéj byłem w Tujbroch. Niezadługo ujrzałem nadchodzącą Zuzannę. Skryłem się po za klomby. Ona usiadła na ławce, a w pół godziny, zostawiając dziecko z piastunką, wstała i skierowała się ku ulicy Ryvoli. Pośpieszyłem w tę stronę ale szła tak prędko że zaledwie zdołałem podążyć za nią. Na ulicy Richelieu, zmuszony trzymać się w pewnéj odległości, a obawiając się aby znów w tłumie tym wśród natłoku powozów i omnibusów nie stracić jéj z oczu, z trudnością przeciskałem się pomiędzy licznemi przechodniami, trącając jednych depcząc drugich po nogach złorzeczenia i grubiaństwa sypały się na mnie ze wszech stron, zbyt jednak byłem zajęty abym mógł zważać na podobne drobnostki. Na rogu ulicy Montpensier żona moja stanęła na chwilę jakby wahając się; nie chcąc żeby mnie spostrzegła, schowałem się pospiesznie za kolumnadę teatru. Nagle stanąłem jak wryty z przerażenia, naprzeciwko Zuzanny tym samym trotuarem szedł Goutran. Krew uderzyła mi do głowy, w piersiach tchu zabrakło, z okiem wlepionem w tego człowieka, oparłem się o ścianę... Już tylko o kilka kroków był od Zuzanny... Przeszedł koło niéj, zdjął kapelusz powitał ją z uszanowaniem, ona skłoniła głową i rozeszli się każde w inną stronę. Na ten widok doznałem w pierwszéj chwili wielkiéj ulgi, ale niebawem dręczące opanowały mnie myśli, może to tylko udana obojętność, aby mnie w pole wyprowadzić? Dobrze przecież byłem ukryty, widzieć mnie nie mogli. W miejscowości téj kiedy Goutran znikł mi już z oczu pobiegłem daléj za żoną, zdążyłem jeszcze na czas, żeby ujrzeć ją znikającą w ubramie jednego z domów przy ulicy Newe-des-Petits-Champs. Z głupią miną zostałem na środku ulicy przyglądając się domowi jakbym wzrokiem chciał przebić mury jego; na pierwszém piętrze mieścił się magazyn mód, drugie zajmował szmuklerz. Co to począć? Czy wejść i badać odźwiernego, czy też czekać i niczego się nie dowiedzieć? Z zamyślenia mego wywołała mnie ciężka ręka spadająca mi na ramię, a jednocześnie z głośnym śmiechem, zabrzmiało mi w uszach:

— Złapałem cię szkaradny zazdrośniku.

Był to mąż Joanny. On, w takiéj chwili.. Zanim zdołałem zebrać myśli, wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą.

— A ja nie chciałem wierzyć Goutranowi, mówił daléj, gdy mnie zapewniał że jesteś zazdrosny któżto widział żeby szpiegować własną żonę.

Chciałem zaprzeczać, odparł mi żywo:

— Idę za tobą od kwadransa. Wszystko widziałem.

— To jeszcze nie dowód że...

— Powiadam ci że wszystko widziałem. Nie masz słuszności, mąż nie powinien tak postępować. Czy ja śledzę Joannę? Nie, ufam jéj, i wiem że nie byłaby zdolną..

Zadrżałem. On spojrzał na mnie. Nie wiem jaki mógł być wyraz mojéj twarzy, ale spotkanie to, te zwierzenia przy podobnych okolicznościach, nabrały charakteru tak śmiesznego i bolesnego zarazem, że uczułem się głęboko wzruszonym. Nie odgadł przyczyny mego wzruszenia i ciągnął daléj:

— Uważałem jakieś zmienił się nagle gdy Goutran przechodził koło twéj żony. Przyjaciel! I ty mogłeś podejrzywać przyjaciela.

Tego było już za wiele; schyliłem głowę, nie byłem w stanie ukryć mego pomieszania?

— Bledniejesz i czerwieniejesz na przemian, jesteś w gorączce. Otóż zaspokoję cię jednem słowem. Twoja żona jest u modniarki, znam dobrze ten dom; Joanna nie wychodzi prawie z niego, całemi dniami tu przesiaduje. Nasze panie przy swoich gałgankach o wszystkiem zapominają.

Znowu głośno i szczerze się zaśmiał; spoglądałem na niego ze zdumieniem, czy żałować go, czy zazdrościć mu wypadało? Wiedziałem bowiem, gdzie Joanna przez całe dwa lata spędzała popołudniowe godziny, udając że zajmuje się gałgangami. Przypomniałem sobie, że często wspominała mi o jakimś magazynie mód, przez który przechodziła tylko dla odwrócenia podejrzeń. I to do tego samego domu weszła moja żona... Wyrwałem gwałtownie rękę i porzuciłem pana de Verceil.

— Wracasz na swoje stanowisko? zawołał, nie, nie uczynisz tego, wszak prawda?... Byłoby to bardzo źle z twojéj strony.

Odpowiedziałem mu kiwnięciem głowy które nic stanowczego nie wyrażało. Zdaleka jeszcze dolatywał mnie śmiech jego. Szydził sobie ze mnie, zazdrość moja wydawała mu się niedorzeczną...

(d. n.)

LISTY Z MADRYTU.

V.

Smutne, jałowe i piaszczyste są okolice Madrytu: zwiedzając je mimowolnie przychodzi na myśl co skłoniło monarchów hiszpańskich aby będąc panami kraju bogatego w tak zachwycające miejscowości i krajobrazy, właśnie Madryt obrać za stolicę. Dopiero w pewnéj odległości pojawiają się piękne widoki i malownicze położenia i tam wzniesiono rezydencye królewskie, jak Aranżues (Aranjuez) z pałacem otoczonym prześlicznemi ogrodami i cienistemi gajami, a znacznie daléj Grania, słynąca z pysznych, nadzwyczaj wysoko tryskających fontan i najcudniejszych ogrodów, roztaczających się wśród poważnéj przyrody i skał wiecznym pokrytych śniegiem nakoniec Escurial (Eskurial) i Pardo, leżące o jedenaście kilometrów od Madrytu, do którego prowadzi piękny i doskonale utrzymany trakt bity.

Dawno, bardzo dawno temu, kto chciał zwiedzić Eskurial, musiał uzyskać pozwolenie królewskie, upoważnienie pierwszego ministra, oraz polecenie nuncyusza do przeora i zarazem rządzcy pałacu. Hiszpanie uważają go za ósmy cud świata. Dziś nie potrzeba tak wysokich i niełatwych pozwoleń i rekomendacyj, a kto pragnie poznać ulubioną rezydencyą Filipa II-go, w półtory godziny dowiezie go tam kolej żelazna i może rozpatrywać się we wszystkich jéj pięknościach.

Escurial jest to duża wieś licząca parę tysięcy ludności, dzieli się na część wyższą i niższą, zaś starodawny klasztor nosi nazwę *San-Lorenzo*. Ani sama miejscowość ani okolice nie odznaczają się malowniczością ale samo obejrzenie klasztoru, wynagrodziłoby najdłuższą podróż. Jest to najokazalszy z pomników hiszpańskich; styl jego wspaniały i posępny zarazem, odbija w sobie charakter królewskiego swego fundatora.

Gmach ten zaczęto wznosić w r. 1563 na pamiątkę zwycięztwa nad wojskami francuzkiemi, odniesionego w Saint-Quentin d. 10 sierpnia 1557 r. Było to w dzień Ś. Wawrzyńca; to też dla uczczenia Świętego męczennika, król żądał aby plan powierzchni gmachu sporządzony był w kształcie kraty. Dziwaczny pomysł który nie zaraz odgadnąć można. Gmach wzniesiony jest z żółtego granitu, od rozpoczęcia do ukończenia go upłynęło lat dwadzieścia dwa.

Główna fasada zwrócona jest na wielki plac; mieszkańcy utrzymują iż w tem miejscu tak gwałtowne zrywają się wiatry, że unoszą w powietrze najcięższéj obładowane wozy: wszyscy to powtarzają, nie zdarzyło mi się jednak spotkać takiego, coby to widział własnemi oczami. Musi jednak być w tem coś prawdy gdyż urządzane są podziemne chodniki, któremi, omijając plac, mieszkańcy mogą w dnie gwałtownych burz przychodzić do kościoła. Fasadę zdobi figura Ś. Wawrzyńca, cztery metry wysoka; w pra-

wéj ręce trzyma bronzową pozłacaną kratę. (Wiadomo że Ś. Wawrzyniec umęczony był na rozpalonéj kracie.)

Kościół wznosi się w głębi królewskiego dziedzińca. Wszedłszy do niego najpierw zwraca uwagę sklepienie wznoszące się po nad chórem. Jest ono prawie zupełnie płaskie; dziś nie jest to już tajemnicą dla sztuki architektonicznéj, wówczas uchodziło za coś cudownego. Opowiadają iż dla uspokojenia kró'a, architekt musiał wesprzéć je na kilku filarach, które później dopiero obalił. Dokoła chóru biegną dwa rzędy ławek rzniętych prześlicznie z kosztownego drzewa, a w rogu na lewo, pokazują stallę w któréj przez długie lata Filip II zasiadał podczas nabożeństwa. Ztąd małe drzwiczki prowadzą do mieszkania królewskiego, składającego się z dwóch alkow bez okien z których wchodzi się do podłużnego pokoju ze ścianami pobielonemi wapnem, istnéj celki zakonnéj, posępnéj i ponuréj. Krzesło, fotel i dwa taborety w kształcie X, jeden dla sekretarza Antonio Perez, drugi, na którym monarcha kładł chorą nogę, krwią jego splamiony, oto jedyne meble mieszczące się w tym królewskim apartamencie. Przechowano je dotąd jak najstaranniéj. Tu, modląc się w swéj stalli, Filip odebrał wiadomość o zwycięztwie pod Lepantem, która powstrzymało rozwój islamu. Po za ławkami kryje się mała kapliczka, w któréj wznosi się cudnie piękna postać Chrystusa z białego marmuru, arcydzieło Benvenuta Cellini.

W samym klasztorze podziwiać trzeba cztery wspaniałe galerye z arkadowem sklepieniem i wspaniałe schody o trzech przestankach i przepyszną balustradą; ściany zdobią freski Łukasza Giordano, przedstawiające bitwę pod Saint-Quentin i fondacyą Escurialu.

Drogocenna i bogata w nader rzadkie dzieła i rękopisma biblioteka, o mało nie stała się pastwą płomieni w 1872 roku. Nie pomyślano o zabezpieczeniu gmachu gromochronami i raz piorun uderzył w bibliotekę. Dzięki ratunkowi i poświęceniu poczciwych wieśniaków, zdołano wyrzucić na wielki plac wszystkie książki i rękopisma i tym sposobem uratowano je od zagłady. Wszyscy wiedzieli jak nieocenione skarby mieściły się w bibliotece, jak łatwo i drogo sprzedaćby je można, a jednak ani jeden tom nie zginął w tem zamieszaniu. W bibliotece téj widziéć można dzieła sztuki które bajeczne kosztowały summy, jak między innemi książka do nabożeństwa Karola V, ewangelje odbite złotemi literami, wielką biblię kardynała Cisneros i przeszło 3,000 nieznanych po większéj części rękopismów hebrajskich, greckich, arabskikh i łacińskich.

Pod kościołem mieści się Panteon, groby królów i infantów. Wchodzi się do niego po wspaniałych sklepionych schodach, z drogocennego różnobarwnego marmuru, kolumny zdobią złocone bronzy. Groby w których składają na wieczny spoczynek martwe zwłoki monarchów, poprzedza przedsionek, czyli salon, w którym stawiają trumnę dopókąd nie zostanie ukończony grób w jakim spocząć ma zmarły. Pieczara grobowa jest to jakby salon ośmiokątny, którego ściany pokryte są porfirem i marmurem. W sześciu z tych ścian umieszczone są cztery rzędy jakby katakomb, w które po odpowiedniem przyozdobieniu ustawiają trumny zmarłych monarchów. Wszystkich jest dwadzieścia-sześć, z tych jeszcze dość jest próżnych, któż dziś potrafi odpowiedziéć czy będzie jeszcze w Hiszpanii tylu królów aby je zapełniły ich zwłoki.

Przed kilku laty otworzono grób Karola V, czas uszanował śmiertelną powłokę wielkiego cesarza; ciało zachowało kształty i rysy unieśmiertelnione penzlem Ticiana. Druga, nie tak bogata sala, przeznaczona jest dla królowych zmarłych bezpotomnie i dla infantów. Quintana i Nunez de Arce natchnionym wierszem opisali dzieje i śmierć spoczywających w Escurialu, potęgą swego talentu zmarłych wracając do życia.

Opuszczając te groby w których przepych i zbytek światowy otaczają jeszcze szczątki marności ludzkiéj, powróciłem do kościoła.

W wielkiéj kaplicy (capilla mayor) mieści się wielki ołtarz, oratorya i pomniki królów, wszystkie z drogocennych różnobarwnych marmurów. Wielki ołtarz zdobią posągi i wysoko cenione malowidła. Z pomiędzy pomników królewskich wyróżniają się dwie grupy posągów, bronzowych, pozłacanych, w postawie klęczącéj, większych niż naturalna wysokość: jest to dzieło włoskiego artysty, Binpes Leoni. Grupę z lewéj strony składają: Karol V, żona jego Izabella i trzy córki. Prawa gruppa przedstawia Filipa II, trzy jego żony, Marją, Izabellę i Annę, oraz syna jego don Karlosa, bohatera tylu dramatów. Prócz tego w kościele tym znajdują się dwie piękne ambony, dwa wspaniałe ołtarze malowane przez Eibadi'ego Volosquez, wielki obraz Klaudiusza Coello zasłaniający sanctuarium (santa forma) i relikwie wielu świętych.

Po za Escurial'em wznoszą się wysokie góry oddzielające od siebie obie Kastyllie, są one nagie i posępne, wcale niepociągające pięknym widokiem. Urządzono w nich wielkie zbiorniki wody, która przeprowadzona do wodociągów, zasila blizko sto fontan, porozmieszczanych w pałacu i w ogrodach.

Pardo leży w przeciwnéj stronie Madrytu, jest to rendez-vous myśliwych, którzy z uniesieniem wyrażają się o téj miejscowości. Ogromny las dębowy otoczony jest dokoła (ma kilka mil obwodu) grubym i wysokim murem. W dzień Ś. Ildefonsa lud tłumnem dąży do Pardo, aby zgodnie ze starodawną tradycyą obchodzić tam święto błogosławionego arcybiskupa z Toledo i zabawić się zbieraniem żołędzi w lesie koronnym,

Manzaneres przepływa przez całą posiadłość Pardo; lecz wybrzeża jej niczem się nie odznaczają ale za to rzeczka ta nigdy wylewami żadnych szkód nie zrządza, gdyż wody w niéj tak mało jakby tylko był to zbiornik łez jakiemi biedaczka opłakuje swoje ubóstwo.

Pardo zaleca się niezmierzonemi lasami i mnóstwem zwierzyny; mieszkańcy miasteczka niczem się nie odznaczają, to też cudzoziemcy przybywają tu jedynie dla zwiedzenia pałacu i domu schronienia żebraków, rezydencyi monarszéj i przybytku nędzarzy, który miłosierdzie utworzyło dla poparcia pracy i poprawy obyczajów.

Pałac królewski jest to wielki czworokątny gmach, z trzema fasadami w poważnym stylu, ozdobiony wieżami i otoczony głęboką fossą. Przedstawia się z powierzchowności jak ponura i odpychająca rezydencya z czasów feudalnych. Za Karola IV w pałacu tym miały zbierać się liczne zgromadzenia, lecz następnie monarchowie tak opuścili tę rezydencyą, że zaledwie można w niéj spędzić kilka tygodni, Znajdują się tu korpusy z dość dobrym rozkładem pokoi, ale zastawionych bardzo zniszczonemi meblami, których odnowienie kosztowałoby daleko więcéj niż nowe umeblowanie, a bardzo mało jest zalecających sie jakąś artystyczną wartością. Ale pałac ten zawiera prawdziwe skarby nieobliczonéj wartości, o których należałoby lepsze miéć staranie i strzedz od wilgoci i zmian powietrza, a temi są przepyszne obicia i kobierce wyrobione według rysunków Goya lub kopii Dawida Teniers'a, przedstawiające polowania, sceny sielskie, epizody z *Don Quichotte'a* i t. p. Obicia te i kobierce, których tak wiele jest w tym pałacu, pochodzą z królewskiéj fabryki, założonéj przez Filipa V, i mogą współzawodniczyć z najpiękniejszemi francuzkiemi gobelinami. Dowodzi to jak wysoko sztuka ta stała w Hiszpanii, w drugiéj połowie XVIII wieku.

(d. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Wkrótce po targu zbożowym odbył się we Lwowie wiec (mityng) szewcki, na który zjechali się majstrowie z różnych stron kraju, aby zastanowić się nad sposobami podźwignięcia upadającego coraz więcéj przemysłu szewckiego. Zjazd był nadzwyczaj liczny, z czego wnosić można, że rzeczywiście téj gałęzi przemysłu grozi niebezpieczeństwo z powodu coraz natarczywszéj konkurencyi towaru, sprowadzanego z zagranicy, głównie z Wiednia, nietylko szewcy lecz i inne kategorye przemysłowców zagrożone są przez tę konkurencyą Wiednia: który co trzeba otwarcie przyznać, zrobił od ostatniéj wystawy powszechnéj olbrzymi postęp i nietylko na wschód lecz także już i na zachód rozciąga swoje konkurencye. Przyzwyczailiśmy się uważać oddawna wyroby gotowe za produkt tandetny, na który nie warto pieniędzy wyrzucać, tymczasem rzecz się ma dziś inaczéj, bo te sprowadzane wyroby są zawsze o wiele tańsze od krajowych a często prześcigają ostatnie nietylko lepszem wykończeniem lecz nawet woborem materyału. W ostatnich czasach wydział krajowy rozpisując oferty na różne sposoby potrzebne do wewnętrznego urządzenia nowego gmachu sejmowego miał szczery zamiar uwzględnienia przemysłu krajowego. O szczerości niemożna było powątpiewać, bo Sejm i wydział krajowy wiele zrobiły w ostatnich czasach z własnéj inicyatywy dla podniesienia przemysłu krajowego. Tymczasem pokazało się, że niektórych rzeczy nie można zamawiać we Lwowie, bo wiedeńscy przemysłowcy ofiarowali je po niższéj cenie i w nierównie lepszym gatunku. Gdzie tylko różnica wyrobu co do ceny, gatunku lub wykończenia nie była zbyt rażąca, tam wydział krajowy nie wahał się nawet ponieść ofiary, aby tylko dać zarobek krajowym przemysłowcom. Mimo to jednak w gmachu sejmowym będzie wiele rzeczy sprowadzanych z poza Galicyi. Na to nie ma innego środka jak tylko polepszenie warunków produkcyi i wydoskonalenia wyrobów; samo narzekanie nic nie pomaga bo na tem polu konkurencya nie da się zwalczyć tą bronią. Szewcy nasi wybrali zatem bardzo dobrą drogę i doznali zasłużonego poparcia. Wydział krajowy poparł ich subwencyą a prezydent miasta sam przewodniczył zjazdowi i zachęcał do wytrwania w rozpoczętéj pracy. Wiec szewcki powziął uchwały praktyczne, kładąc nacisk na tworzenie spółek i korporacyi, oraz na potrzeby wydoskonalenia przemysłu. Po zniesieniu cechów arcyliberalna ustawa przemysłowa, zbyt łatwym uczyniła przystęp do téj gałęzi przemysłu ludziom, którzy nie posiadają potrzebnego wykształcenia i wskutek tego partactwem psują reputacyą krajowych wyrobów. W tym kierunku reforma jest niezbędną i wiec wskazał, w jaki sposób ją osiągnąć można. Wskazano także inne środki, które mogą podnieść przemysł szewcki z upadku. Na razie tworzenie stowarzyszeń dla handlu skór jest najpilniejszem zadaniem. Następnie starać się należy o wyzyskanie wszelkich spo-

sobności do zbytu towarów w znacznych zapasach np. przy dostawie obuwia dla wojska. Galicyjskie obuwie mogłoby także zdobyć sobie nowe rozległe pole zbytu na wschodzie, w pierwszym rzędzie w Rumunii. Wskazawszy środki ratunku wiec postanowił w końcu, że ma być utrzymywany we Lwowie osobny organ dla spraw przemysłu szewckiego, którego zadaniem będzie wspieranie wszelkich usiłowań około podniesienia upadającego przemysłu. Pierwszy numer tego pisma już się pojawił. Oby i nasze pochwały wieca tak rychło w czyn się zmieniły.

Na zasadzie własnéj pomocy oparł się wiec szewcki i w każdym razie osiągnął tę przynajmniéj korzyść, że zwrócił uwagę na stopniowe ubożenie jednéj klasy rzemieślniczéj. I to już wiele znaczy, bo teraz zainteresują sie sprawą koła wpływowe a przytem troskliwe o dobro kraju na każdem polu. Na téj saméj zasadzie oparło się tutejsze towarzystwo posługaczy publicznych, zwołując zgromadzenie robotników celem rozszerzenia swojego zakresu w taki sposób, aby mogło otworzyć źródło stałego zarobku wszystkim wyrobnikom gotowym do zarobkowania a nie posiadającym do tego sposobności. Kiedy dziś w innych krajach robotnik, któremu sposobność do pracy sama się nie nastręcza i nie szuka jej lecz myśli o wywrocie porządku społecznego, o nowym podziale dóbr i t. d. u nas klasa robotników zdobyła się na krok świadczący pięknie o jéj dobrych zamiarach i zdrowych instynktach. Jest to jeden z wybitniejszych dowodów, że w społeczeństwie naszem socyalizm nie ma gruntu pod nogami, że może być tylko sztucznie zaszczepiony, jeżeliby napływowym żywiołom pozwolono podburzać spokojne umysły i bałamucić je szalonemi mrzonkami. Przy zwykłéj czujności społeczeństwa i bez żadnych nadzwyczajnych wysileń, importowany z zagranicy socyalizm nie zrobi u nas żadnego postępu. Myśl towarzystwa posługaczy zasługuje na wszelkie poparcie i niezawodnie znajdzie je na każdym kroku skoro tylko przez inicyatorów ujęta zostanie w formę praktycznego statutu. Dziennikarstwo już dało dowód, że poparcia swojego nie odmówi téj sprawie.

Oprócz dwóch niższych zakładów szkolnych przybyło miastu naszemu z początkiem bieżącego roku szkolnego nowe, czwarte już z rzędu gimnazyum, o które długo i usilnie Lwów i kraj się upominał. Że żądanie było uzasadnione stosunkami, świadzą przepełnione klasy nowego gimnazyum, chociaż w trzech innych nie zmniejszyła się liczba uczniów. Język wykładowy w nowem gimnazyum jest polski. Po wysłuchaniu jednego życzenia kraju i miasta, mamy nadzieję, że wskutek korzystnéj zmiany stosunków w Wiedniu, ziści się i drugie, równie pilne, może nawet pilniejsze. Chodzi tu o otwarcie wydziału medycznego przy uniwersytecie lwowskim. Corocznie w sejmie i radzie państwa w Wiedniu posłowie nasi wykazują datami statystycznemi, że stosunek śmiertelności w Galicyi jest przerażający a jeden wydział medyczny w Krakowie nie może w żaden sposób dostarczyć dostatecznéj liczby lekarzy sześciomilionowemu krajowi. Obecny rząd zdaje się być skłonnym do zaprowadzenia wydziału medycznego we Lwowie. Mówią także że Galicya a mianowie Lwów odniesie niebawem jeszcze jedną ważną korzyść z pożądanéj zmiany stosunków w Wiedniu. Rząd ma się skłaniać także do życzenia delegacyi naszéj, aby generalne dyrekcye galicyjskich kolei żelaznych przeniosły swoją siedzibę z Wiednia do Lwowa. Jest to anomalią, żeby centralny zarząd kolei znajdował się w mieście o kilkadziesiąt mil odległem a nie w stolicy kraju. Wiedeń wiele zyskiwał na tym przywileju, bo skupiał w sobie wiele znacznych interesów kosztem kraju. Dla Lwowa taka zmiana byłaby nadzwyczajnem dobrodziejstwem a kraj odniósłby tę ważną korzyść, że doczekałby się wreszcie zaprowadzenia języka polskiego w zarządach kolejowych. Za jedną zmianą bowiem poszłaby druga: bo obie są uzasadnione. Skoro język polski stał się urzędowym i szkolnym w całym kraju, więc zaprowadzony być powinien także na kolejach żelaznych.

Ze świeżo wydanych książek zwraca na siebie uwagę rozmaitością treści i rozmiarami, album młodzieży akademickiéj wydane z powodu literackiego jubileuszu J. I. Kraszewskiego i poświęcone Jubilatowi. Na tę sporą książkę złożyły się prace nietylko słuchaczy lwowskiéj wszechnicy lecz także artykuły akademików polskich w Krakowie i zagranicznych zakładów naukowych. Myśl wydania albumu z pracami młodzieży akademickiéj powstawała i upadała już kilka razy. Odkąd powstała czytelnia akademicka skupiająca w sobie całą inteligentniejszą młodzież uniwersytetu i techniki myślano o takiéj książce, ale odstępowano od zamiaru dla znacznych kosztów i trudności redakcyjnych a może nawet i z tego powodu, że ostatecznie po długich naradach uznawano za rzecz rażącą, aby ci, którzy się jeszcze sami kształcić powinni, narzucali się już publiczności próżbami literackiemi. Akademik, któremu niepospolita zdolność i niezwykły zasób wiedzy pozwalają wcześnie rozpocząć karjerę literacką lub naukową, znajdzie zawsze pisma otwarte dla autorów początkujących i nie potrzebuje czekać na album specyalnie takim pracom poświęcone. Ci zaś, którzy piszą dlatego, że w dwudziestym roku życia chwyta się chętnie za pióro nawet w braku zdolności literackiéj i powołania, dla dogodzenia próżności lub fantazyi młodzieńczéj, nie zasługują na to, aby wydawano dla nich album. Takie zdania przeważały w latach 1867—1869, gdy stowarzyszenie akademików formalnie uchwalało wydać album i wybrało nawet komisyą redakcyjną, ale późniéj cofnęło swoją uchwałę. Jeżeli dziś dawny ten pomysł przyszedł do skutku, to przypuścić to należy nadzwyczajnemu wypadkowi, jubileuszowi Kraszewskiego. Jako upominek jubileuszowy dla wielkiego pisarza, album liczyć może na pobłażliwość krytyki, któréj co do niektórych artykułów bardzo a bardzo potrzebuje. Szczególnie pobłażliwą być musi krytyka dla jednego artykułu o rolnictwie polskiem, w którym autor całe ustępy wyjął z dzieł Szajnochy. W takiéj książce najsłabszy utwór nie razi tak bardzo jak plagiat. Wszakżeż są to prace początkujących autorów a cóż powiedziéć o przyszłości młodego autora, który w ten sposób rozpoczyna zawód literacki. Album nie weszło jeszcze do księgarń, gdy w jednym z dzienników skonstatowano ten fakt z wnioskiem, aby artykuł został wyrzucony. Snać niemożliwem już było zastosowanie się do téj życzliwéj rady, bo w albumie znajduje się ten nieszczęśliwy artykuł. Pobłażliwą być musi krytyka także dla poezyi t. j. oryginalnych, bo tłomaczenia mają niezaprzeczoną wartość. Co do tych poezyi można powiedziéć, że lepiéj było nie umieszczać ich wcale, bo nie widać w nich „orléj potęgi młodości.“ Gdyby nie było poezyi oryginalnych w albumie, możnaby się było łudzić przynajmniéj przypuszczeniem, że pewne skrupuły nie pozwoliły ogłosić płodów muzy akademickiéj, że jednak jałowy realizm nie owładnął młodych umysłów. Po ogłoszeniu słabych warunków niknie ta illuzya. Najlepszym jest dział historyczny, co stanowi zasługę tutejszego profesora historyi dr. Ksawerego Liskego, któremu słuchacze wiele zawdzięczają. Komitet redakcyjny w przedmowie składa podziękowanie wszystkim, którzy zajęli się ocenieniem artykułów przed ich wydrukowaniem a szczególnie profesorowi dr. Liskemu. Album akademickie nie jest pierwszym dopiero dowodem skutecznéj działalności naukowéj prof. dr. Liskego między młodzieżą akademicką. Już kilku jego uczniów dało się poznać zaszczytnie pracami sumiennemi wystudyowanemi i samodzielnie napisanemi. Każdy z nich pewnie przyzna, że wiele zawdzięcza umiejętnemu kierownictwu prof. Liskego.

W chwili, gdy to piszę, nadeszła do Lwowa telegraficzna wiadomość z Krakowa, że nasz genialny artysta Henryk Siemiradzki podczas uczty danéj na cześć Kraszewskiego przez literatów i dziennikarzy warszawskich, ofiarował krajowi swoje arcydzieło Pochodnie Nerona z tem zastrzeżeniem, że ma ono zdobić dużą salę w odrestaurowanych Sukiennicach. Jest to dar królewski i słusznie nazwano Siemiradzkiego w Krakowie, największym w téj chwili magnatem polskim. Kraków wyprawił za to Siemiradzkiemu szereg owacyi. Przyklaśnie im cały kraj jako obecny właściciel arcydzieła, które odbyło pochód tryumfalny po całéj Europie i sławą okryło nietylko autora lecz w ogóle sztukę polską. Fakt ten zaimponuje światu, bo Siemiradzki jak wiadomo nie jest zamożny i tysiącami dla fantazyi rozrzucać nie może a dla rozgłosu tego uczynić nie potrzebował, bo zdobył już sobie sławę europejską arcydziełami. Najszlachetniejsze motywa skłoniły naszego artystę do tego kroku i dlatego wspaniały dar jego budzi nietylko radość lecz i dumę w naszem społeczeństwie, jako wypadek nie mający nigdzie równego sobie, trudny do naśladowania chociaż tak godny tego. Arcydziełami zjednał sobie Siemiradzki sławę w całéj Europie, a darem dzisiejszym wdzięczność niewygasłą całego społeczeństwa naszego. Dla skromnego a tak genialnego artysty nasze go ta druga zdobycz będzie pewnie cenniejszą!

B. Ł.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Paryż zaludnił się nareszcie po długiem opustoszeniu letniem. Mówimy tu naturalnie o téj części mieszkańców któréj obowiązki nie przykuwają bądź co bądź do bruku paryzkiego. Owe podróże letnie stały się dziś konieczną potrzebą, arystokracya rozjeżdża się po wiejskich swych rezydencyach, świat przemysłowy błyszczy w Boulogne, Trouville i innych stacyach nadmorskich; mniéj zamożni nawet wynoszą się w jakiś cichy zakątek wiejski, jedni aby odetchnąć zdrowem powietrzem, inni aby zadość uczynić modzie. Zwyczaj ten przejęli Francuzi od Anglików, którzy hołdują mu niewolniczo. Anglik któryby nie opuścił Londynu w ciągu lata, uważałby to za hańbę i upośledzenie. Dziwy téż rozpowiadają o téj podróżomanii rodzin angielskich. Niektóre z nich pozbawione zasobów na kosztowne wycieczki najmują parę pokoi na dalekiem przedmieściu, zamykają się w nich najszczelniéj, puściwszy wieść o podróży w Alpy lub Pireneje. Dla młodych zwłaszcza *Gentelmenów*, wyjazd na polowanie do jakiegoś zamku arystokratycznego jest sprawą niemal honorową; który z nich nie otrzymał zaprosin, gotów poniżyć się do kłamstwa. Opuszcza więc dom na parę tygodni, chowa się w jakimś zakątku wreszcie przywdziewa ubiór myśliwski, idzie do tak zwanego *Splasking house*, gdzie za trzy szylingi, otrzymuje szczególną kąpiel.

Przedsiebierczy właściciele tego zakładu, exploatują zręcznie próżność młodych paniczów. Sprowadzają oni ziemię z różnych stron kraju, bądź gliniastą, bądź wapienną lub torfowatą, przez domięszanie wody tworzą z niéj błoto właściwe téj albo owéj okolicy. Mniemany myśliwiec, siada na mechanicznego konia, ten nakręcony wierzga nogami póty, aż go należycie obryzga błotem. Zaklapany po uszy elegant spieszy na Picadilly, wita przyjaciół, opowiada dziwy o łowach, w których miał zaszczyt uczestniczyć.

Niewidzieliśmy wprawdzie *Skleping-hauzu* na własne oczy, ale wieść o nim chodzi od dawna po Paryżu. Jeźli dom ten w rzeczy saméj istnieje to wyznać musimy, że Francuzi pomawiani o blageryą, dali się o wiele wyprzedzić swym zamorskim sąsiadom.

Modny świat jak mówiliśmy powrócił do Paryża. Na polach elizejskich pojawiają się z każdym dniem nowe okrywki i kapelusze. Wielkie magazyny rozpoczęły wystawy zimowych towarów. Wśród tych uderzają wzrok różnobarwne tkaniny wschodnie w guście perskim, tureckim, indyjskim i japońskim, przeznaczone do ozdoby sukien i kostiumów, nazwy tych tkanin rozmaite: *Benares*, *Kaszmyr*, *Kabul*, *Jeddo* i t. d. wszystkie odznaczają się dziwną mieszaniną barw i odcieni. Ta moda powszechnie dziś panująca, potrwać długo nie może; obok kosztownych bowiem wyrobów, pojawiają się już tanie naśladownictwa, które ją w krótce rozpowszechnią i do zbytku przesycą nią oczy.

Na zimowe kostiumy widzimy też gładkie sukienka i wigonie, korciki i repsy w drobne podłużne prążki. Do najmodniejszych kolorów należą: ciemno oliwkowy, myrtowy, śliwkowy, loutre czyli wydrowy. *tête de negre* (głowy murzyna), *pain brulé*, (chleba spalonego), *mousse* (przemrożonego mchu), wreszcie kolor czarny, który w słotne dni zimowe zapanuje niewątpliwie nad innemi.

Wielką nowość w tym roku, stanowi też kolor fijołkowy, zarzucony zupełnie od lat kilku, ten używany szczególniéj na wyłogi do ciemnych sukien i palototów,

W ogólnéj formie sukien ta uderza różnica, że tak zwane *paniers* czyli rogówki rozdęte po bokach znikają coraz bardziéj, i ustępują miejsca małem turniurkom, odsadzającém lekko baskinę od stanika. Kostiumy na ulicę, a nawet na mniéj ceremonialne wizyty, przyjęte w ogólności krótkie, sięgające ledwie do ziemi.

Najmodniejszy kostium składa się po prostu ze spódniczki z zaprasowanym wolantem przybranéj z przodu plisami lub draperyą, i z długiego kaftana, przystającego do figury, z połami roztwartemi. Strojniejsze kostiumy wizytowe przybierają wyciskanym aksamitem, albo wschodnim wyrobem *Drap de Levant*, w którym w pośród różnych kolorów przebija nitka złota, srebrna albo stalowa.

Okrywki jesienne w ogólności mają formę wizytek, rozmiary ich tylko znacznie powiększone. Uważaliśmy między innemi, piękną okrywkę *Visite Imperatrice*, z materyi czarnéj *Sicilienne*, ciepło podwatowaną. Zdobiła ją w koło bogata frendzla z karbowanego jedwabiu. Wielka peleryna tworzyła kwadratowy rękaw, naszyty pasmanteryą. Wzdłuż pleców szła także piękna pasmanterya, zakończona u dołu dwoma wielkiemi kwastami. Szeroka frendzla u szyi, zastępowała kołnierz.

Inna okrywka *Visite Coligny*, z materyi jedwabnéj w drobny groszek (armure de soie), w miejsce frendzli obłożona była skonksami. z takimże kołnierzem, w kształcie chusteczki, tworzącéj długi ząb na plecach.

Trzecia wizytka z materyi *matlassée*, w drobne paski, przybrana u dołu bogatą frendzlą, miała u rękawów plisę aksamitną, szeroką na ćwierć łokcia. Wzdłuż pleców przechodziły dwie takież plisy, przytwierdzone u dołu kwastami. Szyję otaczała szeroka frendzla.

Z pomiędzy skromniejszych okrywek, podobał nam się surducik z czarnego wełnianego wyrobu, w drobne paski, z tyłu wcięty do figury, z przodu zapięty na dwa rzędy szmuklerskich guzików.

Inny takiż surducik, nieco strojniejszy, obszyty był u dołu karbowaną frendzlą. Z pod roztwartych przodów wyglądała długa aksamitna czarna kamizelka. Kieszenie po bokach nizko umieszczone, z klapką aksamitną i pasmanteryą, i aksamitne mankiety u rękawów dopełniały przybrania.

Kapelusze zimowe znacznie większe od zeszłorocznych mają główkę dosyć szeroką rondko spuszczone na czoło i uszy, tworzące zarazem karczek. Pod rondem żadnego nie ma podpięcia, tylko namarszczony atłas albo aksamit. Dano im nazwę *cabriolek* gdyż w rzeczy saméj ochraniają twarz od wiatru jak podniesione pudło kobryoleta. Do wyjścia na ulicę, przyjęte powszechnie kastorowe, czarne lub szare w różnych odcieniach. Zdobią je pękami piór strusich, aksamitem i ptaszkami wszelkiego rodzaju, zacząwszy od zamorskich papug z jaskrawem pierzem, aż do naszych skromnych kukułek. Młode osoby noszą okrągłe toczki, w różnych kolorach odpowiednich do kostiumu, objęte w koło futerkiem lub piórami. Ptaszek albo przynajmniéj skrzydełko stanowi konieczną ich ozdobę. Kwiatów mało dziś używają do przystrojenia kapeluszy.

Jako osobliwość wpadł nam w oczy kapelusz kastorowy cały drukowany w turecki deseń. Uważaliśmy także mufki i wielkie kołnierze z tureckiego kaszmiru, obłożone z brzegu czarnemi lub białemi królikami. Zapisujemy to jako ekscentryczność; z przekonaniem że jéj nie przyjmą wytworne Paryżanki.

Mówiąc o dziwactwach mody, wspomnijmy tu jeszcze dwie suknie, które widzieliśmy w jednym z wielkich magazynów. Pierwsza z niebieskiéj materyi jedwabnéj, wygarnirowana koronką, miała plisy z atłasu blado żółtego i *caroubier*. Stanik w formie fraczka, podbity był atłasem caroubier wyłożonym po bokach. Pod spód szła kamizelka żółta, spięta na złote guziki.

Druga suknia jedwabna w kolorze jasno miedzianym na błękitnéj spódnicy, z błękitną kamizelką i pękami wstążek w dwóch kolorach, niemniéj raziła oczy. Widząc zdziwienie nasze, właścicielka magazynu rzekła z uśmiechem, że te suknie przeznaczone dla podróżnéj amerykanki. Do każdéj z nich dodany był kapelusz z pękiem piór w jaskrawych kolorach.

Obok tych cudacznych sukien, przytoczmy inne, wystawione w magazynie *Petit S. Thomas*, odznaczające się smakiem prawdziwie paryzkim. Jedna z nich ciemno fijołkowa aksamitna, miała przód nagarnirowany czarną koronką. Tylne bryty tworzące długą powłokę, zaokrąglone po bokach, przechodziły do przodu i zakładały się w stanie jeden na drugi. Brzegiem szedł wolancik z koronki czarnéj, szerokiéj na cztery cale. Stanik do tego pod szyję z baskiną mocno się rozchodzącą, przybrany był koronką i kokardami.

Druga suknia czarna jedwabna, dochodziła tylko do ziemi; zdobiła spódniczkę draperya z frendzlą, podpięta bogatemi kwastami. Miejsce stanika zastępował kaftanik czarny aksamitny, do figury, przystrojony piękną pasmanteryą. Kaftanik ten można nosić do każdéj innéj spódniczki; moda dzisiéjsza nie wymaga bowiem; aby garnirunek sukni zastosowany był koniecznie do kaftanika. Na czarnéj spódniczce, nie było wcale aksamitu.

Trzecia suknia z serży białéj w odcieniu kości słoniowéj, miała garnirunek z piór bażancich, szeroki na dwa cale, położony na szerszych cokolwiek plisach z czarnego aksamitu.

Powiedzmy jeszcze słówko, o rannych szlafrokach japońskich. Te jakkolwiek jaskrawe i excentryczne nie tyle rażą nas, gdyż przeznaczone wyłącznie do domowego ubrania. Widzieliśmy jeden z tkaniny wełnianéj Yeddo, w wielki deseń na tle błękitno zielonkowatem. Szeroki, długi krajany w proste bryty, przepasany był w stanie szarfą, z ciemno pąsowego fularu, przewiązaną z boku na węzeł. Rękawy długie rozszerzone u ręki podbite były pąsowym fularem.

Długo zaniedbane czepeczki, zaczynają wracać do mody, w skutek zapewne mniejszéj objętości szynionów. Widzieliśmy bardzo ładne modele, w jednym z pierwszych magazynów tutejszych. Śliczny był czepeczek z atłasu *ivoire*; otoczony frendzlą z białych pereł, spadającą na włosy. Nad czołem upięta była kokarda atłasowa; z poza niéj wybiegało różowe fryzowane piórko odwrócone w stronę warkocza.

Drugi czepeczek z białego fulara *surrah*, ogarnirowany koronką bretońską, miał wpiętą z boku gałązkę, z dwoma dojrzałemi morelami.

Miejsce zarzuconych kwiatów, zastępują owoce. U innego czepeczka, uważaliśmy kilka pięknych śliwek, u innego znów gałązkę leszczyny z orzechami.

Negliżyki z fularu pompadour, w drobny rzucik ogarnirowane koronką bretońską, powszechnie używane na rano. Robią je zazwyczaj z fularowych chusteczek.

Mnóstwo widać po magazynach pelerynek, i krawatek sznelowych, w mięszanych kolorach, z odpowiednią u brzegu frendzlą. Czarne chusteczki z grubéj siatki sznelowéj, bardzo téż używane.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 16 Октября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Zresztą było to tylko przelotne spojrzenie, gdy tymczasem piękne oczy młodego oficera, wpatrywały się w nią z pewnym wyrazem przerażenia.

Pierwsze wrażeni, najnieomylniejsze według zdania niektórych fizyognomistów, które w wielu wypadkach wywołuje uczucie, pierwsze wrażenie Stefana było zgubnem dla Maryi-Anny.

Stała, wspierając się jedną ręką na białym kamiennym krzyżu, wznoszącym się na płaszczyźnie, co uwidoczniało jeszcze więcéj zbytnią szczupłość jéj wątłéj kibici.

Rysy jéj wprawdzie nie były brzydkie, ale trudno było tego dostrzedz przy tak chorobliwéj cerze, że twarz jej zdawała się wykutą z tegoż samego co krzyż kamienia. Oczy niepewnego koloru pozbawione były życia i blasku.

Dodajmy do tego pierś wązką, ramiona chude, zbyt długą szyję podtrzymującą pochyloną głowę, i co najgorsze wyraz cierpienia widoczny w całéj postaci, a będziemy miéć wyobrażenie o nieponętnéj powierzchowności panny de Fouzollé.

Na wezwanie ciotki, Marya-Anna postąpiła parę kroków dla powitania pani de Vambry.

Zmarszczone już brwi młodego oficera zmarszczyły się silniéj jeszcze, kiedy patrzył na jéj lękliwe i pozbawione wdzięku ruchy.

Przejęty litością dla téj, pomimo ogromnego posagu, prawdziwie wydziedziczonéj istoty, pomyślał z westchnieniem:

— Biedna dziewczyna. Jakaż ta Matylda szalona że mogła pomyśléć o wydaniu jéj za mąż.

Pani de Vambry, ze swéj strony, przejęta nagle nieufnością, zadawała sobie w myśli pytanie: co mogło skłaniać ojca i stryjenkę, do przyśpieszania przez małżeństwo smutnéj katastrofy, którą cała powierzchowność dziewczęcia przeczuwać kazała.

Pani de Fouzolle czytała te wszystkie myśli na twarzach swych nowych znajomych, i czuła że i teraz zawiodła ją nadzieja.

Pan de Fouzolle pocieszał się filozoficznie myślą, i prawie był pewnym że to spotkanie do niczego nie doprowadzi, i żałował tylko że trudził się napróżno.

Sama tylko Matylda nie dała jeszcze za wygraną, i zachowała zupełną swobodę wśród ogólnego zakłopotania.

Skinęła na furmana aby wyjął z powozu kosz pełen owoców ciast i różnych przekąsek, i rozłożyła to wszystko na murawie.

Na uprzejme zaproszenie pani Bernard, margrabina usiadła, wzięła trochę owoców, i przyjęła nawet kieliszek szampańskiego wina.

Przezorna Matylda nie zapomniała o niczem, i jéj „wiejski podwieczorek,“ jak go śmiejąc się nazwała nie ustępował w niczem angielskiemu *lunchowi*.

Nie zapomniała o niczem... tak sądziła przynajmniéj; dopiero frasobliwe spojrzenie Maryi Anny, dowiodło jéj że tak nie było. Szukała oczyma wody którą chciała złagodzić zbyt mocne dla niéj wino.

Stefan odgadł to, wstał, i zaczął oglądać się do koła, czy nie zobaczy w pobliżu jakiegoś strumyka.

— Nie odchodź, rzekła pani Bernard, poślę Jana.

— Niech lepiéj zostanie przy koniach; nie pierwszy to raz w życiu pójdę na rekonensans, dodał z uśmiechem.

— O! niech się pan nie trudzi, zawołała zmieszana Marya-Anna, nie pozwalają mi pić zwykle wina szampańskiego, ale sądzę że mogę przecież raz przestąpić ten zakaz.

I zmuszając się do uśmichu, przyłożyła do ust kieliszek. Zaledwie jednak przełknęła kilka kropel, szumiący i zbyt mocny napój tchu ją prawie pozbawił. Postawiła kieliszek z lekkim wyrazem zniecierpliwienia; przykro jéj było że i w tem nawet musi różnić się od innych kobiet, taraz zwłaszcza gdy oczy tego młodego oficera tak dziwnie na nią patrzyły.

Zaledwie Mary a Anna zwróciła oczy w inną stronę, Stefan oddalił się nieznacznie i zbiegł z płaszczyzny, z zamiarem poszukania jakiejś chaty wieśniaczéj, w któréj nie odmówią mu z pewnością szklanki wody. Dostrzegał w dali wieżyczki jakiegoś dawnego obronnego zamku, ale odległość musiała być znaczna, a wiedział że grzeczność jego dla panny de Fouzolle straci całą swą wartość, jeżeli nie wróci prędko.

Spotkał jakiegoś człopca, w baskijskéj narodowéj czapeczce, za którym biegł wielki czarny kozioł, z groźnemi rogami.

— Czy nie ma tu strumienia w pobliżu? zapytał Stefan.

— Jest tam, odpowiedział chłopczyk, wskazując ręką w dolinę.

— A może jest niedaleko jakaś chata?

— Jest wieś... A! prawda, jest także dom Irribery.

— Czy ztąd daleko?

— Bardzo blizko.

Stefan zwrócił się natychmiast na wskazaną drogę, i wkrótce spostrzegł na początku wsi malutki domek, zapewnie najskromniejszy ze wszystkich, którego jedyne okienko wyglądało z pod dachu bujnie zarosłego pomurnikiem.

Z wewnątrz dochodził go głos czysty i świéży, śpiewający jakąś smętną baskijską piosenkę.

Stefan byłby chętnie zatrzymał się tam czas jakiś, aby posłuchać śpiewu posiadającego tak czysty miejscowy charakter, gdyby nie potrzebował się spieszyć. Popchnął drzwi i wszedł do chaty.

Śpiew zamilkł, a śpiewaczka powstała nagle, zadziwiona jego obecnością.

Była to może dwudziestoletnia baskijska dziewczyna, wysoka, silna i giętka w ruchach, jak wszystkie prawie kobiety w téj części gór. Ogromne czarne włosy, skręcone bez żadnéj pretensyi, tworzyły dyadem nad jéj szerokiem i ogorzałem czołem. Długie jedwabniste rzęsy łagodziły blask wielkich, bardzo czarnych i dziwnie pięknych oczu. Usta były dość duże ale świeże i rumiane.

Piękna Baskijka nie wyrzekła ani słowa, zwróciła tylko na młodego oficera pytające spojrzenie.

— Czy mogę prosić o szklankę wody... dla jednéj z dam przybyłych tu na spacer? zapytał trochę onieśmielony niespodziewanem spotkaniem téj uderzająco pięknéj dziewczyny, która nie spuszczała weale oczu, przed jego pełnem zachwytu spojrzeniem.

Bez najlżejszéj oznaki zakłopotania, napełniła natychmiast czarny gliniany garnczek świeżą wodą, i rzekła podając go panu de Vambry.

— Wszystko tu jest na rozkazy pana.

Wywiązawszy się w ten sposób z obowiązków gościnności, usiadła napowrót i zajęła się jak przedtem robotą na drutach.

IV.

Stefan ociągał się z odejściem trochę zadługo, aby to mogło nie zwrócić uwagi. Czy nie chciał tak prędko z przed oczu tego pięknego zjawiska czy też nieść sam dzbanek?

Widać piękna dziewczyna była przekonaną że ten drugi powód zatrzymuje nieznajomego, bo znów wstała, i odbierając z rąk jego dzbanuszek, rzekła z lekkim uśmiechem:

— Wskaż mi pan drogę, zaniosę sama, skoro to pana wprawia w taki kłopot.

Stefan nie sprzeciwiał się temu wcale, bądźże odgadła prawdziwy powód jego wahania, bądźże mu przyjemnie było miéć taką towarzyszkę.

Wyszła pierwsza, zamknęła za nim drzwi i zwróciła się szybkim krokiem we wskazaną stronę.

Z pod krótkiéj wełnianéj spódniczki ukazywała się zgrabna noga, w narodowych sandałach, wyplatanych z kory.

Chód miała lekki lecz pewny, równie jak kibić giętką pomimo silnéj budowy ciała. Krucze włosy połyskiwały na słońcu, a płeć nie lękająca się jego promieni, posiadała złotawy odcień dojrzałych winogron.

Był to całkiem nie znany panu de Vambry typ piękności, połączonéj z pewną surowością, prostotą i dumą.

Ulegając chęci dowiedzenia się czegoś o niéj, zapytał:

— Czy nie zechcesz mi powiedziéć swego nazwiska?

— Gracioza Irribery, odpowiedziała, nie zwracając nawet ku niemu głowy.

Stefan zapomniał że był daleko od Bulwaru włoskiego.

— Jakże stosowne masz imie! zawołał z najgłębszem przekonaniem.

Spojrzała wtenczas na niego z zadziwieniem, prawie z gniewem, i milcząc przyśpieszyła kroku.

Wkrótce stanęli na płaszczyźnie, podwieczorek był już skończony; teraz furmani zajadali ze smakiem pozostałe resztki, w cieniu swych powozów.

Margrabina i pani de Vambry rozmawiały z sobą siedząc na pokrytéj murawą pochyłości, zastępującéj im zarazem krzesło i dywan. Trochę daléj, pan

de Fouzolle czytał gazetę, dla ukrycia nudów i niezadowolnienia, nie śmiał już pocieszać się nadzieją.

Były przedsiębierca robót publicznych, położył się pod jaworem i spał jak zabity.

Matylda zbierała poetycznie bukiet polnych kwiatów.

Stefan szukał oczyma Maryi Anny. Rąbek jéj białéj sukni wysuwającéj się za podstawą krzyża, wskazał mu gdzie się znajduje.

Gracioza Irribery zwróciła się zrazu do Matyldy, sądząc że to ona chciała ugasić pragnienie, ale Stefan ją zatrzymał; wtedy zbliżyła się do krzyża zatrzymując zadziwione oczy na pannie de Fouzolle.

Marya Anna siedziała w napół leżącéj postawie, nacechowanéj znużeniem, z rękami opuszczonemi na kamienną podstawę krzyża, z głową także wspartą na kamieniu, gdzie pęczek wonnych ziół i trawy służył jéj za poduszkę. Wzrok jej zatrzymywał się to na Bajonnie rozsiadającéj się u jéj stóp, to na Adurze dążącej do przyciągającego ją morza.

Gracioza pochyliła się ku niej i podała dzbanuszek z tak zachęcającym ruchem, że Marya Anna nie zadając żadnego pytania przyjęła go z jej rąk, i przyłożywszy do ust zaczęła pić z gorączkową chciwością, co przy tak gorącym dniu mogło być szkodliwem.

Oddając jakby z żalem dzbanuszek, podziękowała Graciozie kilku uprzejmemi słowami, a panu de Vambry spojrzeniem.

Młoda Baskijka ukłoniła się z wyrazem uszanowania i litości i odeszła natychmiast. Stefan pośpieszył za nią.

— Dziękuję ci, Graciozo Irribery, rzekł do niéj, choćbyśmy się nie zobaczyli już nigdy, nie zapomnę o twéj usłużności.

Zamiast odpowiedziéć coś na to, odezwała się poważnie:

— Czy pan wie o tem że siostra pana jest bardzo słaba?

— Ta panienka nie jest moją siostrą.

— Tak?!

— I sądzisz że jest chora?

— Bardzo chora.

— Czy baskijskie dziewczęta są lekarkami.

— W naszych górach znaną jest sztuka uzdrawiania.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— W takim razie uzdrów to biedne dziecko, spełnisz prawdziwie dobry uczynek.

— Czy to przyjaciółka pana?

— Tak jest.

Gracioza wahała się chwilkę, potem zapytała nagle:

— Może to pana narzeczona?

Stefan zadrżał.

— Nigdy nie było to mniéj prawdopodobnem jak w obecnéj chwili, odpowiedział z największą żywością.

— Żegnam pana! powiedziała Gracioza, pochylając głowę z takim ruchem, że nie potrzebowałaby się go powstydzić nawet księżniczka krwi.

Zeszła z płaszczyzny nie rzuciwszy nawet oczyma na panie zdziwione jéj ukazaniem, ani na pana de Fouzolle który wypuścił z rąk gazetę, ani też na pana Bernard, który zapewnie przeczuciem wiedziony, przestał chrapać gdy się zbliżyła.

Stefan czuł że względy przyzwoitości nie dozwalają mu patrzéć za odchodzącą, pośpieszył więc do Maryi Anny, aby nareszcie wytłomaczyć się ze swego opóźnienia.

Panna de Fouzolle siedząc ścigała wzrokiem piękną Hebę, która tak uprzejmie zaspokoiła jéj pragnienie. Nagle zaćmiło jéj się w oczach i zamknęła powieki. Opanowało ją jakieś dziwne osłabienie, oddech był zarazem ciężki i przyspieszony; czuła jakiś ciężar na piersiach, brakowało jéj powietrza. Doznawała nader przykrego zaduszania, a twarz jéj zdradzała niepokój i cierpienie.

— Czy pani słabo? zapytał niespokojnie Stefan.

Nie mogła odpowiedziéć. Serce jéj zaczęło bić prędko; puls w skroniach uderzał silnie... potem upadła uderzając czołem o kamienną podstawę krzyża. Stefan krzyknął przestraszony; nie zdążył jéj powstrzymać, i upadając zraniła czoło.

Na krzyk jego wszyscy zbiegli się w tę stronę; nawet Gracioza wróciła, odgadując że zdarzył się jakiś wypadek.

Otoczono Maryę Annę. Co jéj się stało? Czemu przypisać to zemdlenie?

Nikt nie umiał na to odpowiedziéć, i nikt nie wiedział jak ją ratować.

— To choroba gór, powiedziała stanowczym tonem Gracioza.

— Choroba gór? powtórzyła margrabina; nie słyszałam o takiéj chorobie.

— A świeża woda którą wypiła zbyt chciwe, przyspieszyła zaduszenie.

— Zaduszenie! zawołała przerażona margrabina. Mój Boże! jakże ją ocucić zdołamy.

— Proszę się usunąć, rzekła śmiało Gracioza, ja podejmuję się tego.

Kiedy mężczyźni usunęli się na bok, a kobiety drżały z przerażenia, odpięła pasek Maryi Anny, podniosła ją i trzymała w postawie siedzącéj, wspartą plecami o podstawę krzyża. Zamiast tamować krew sączącą się z rany; wyciskała ją jeszcze aby płynęła obficiéj.

— A! zawołała z gniewem margrabina, powiększasz jéj cierpienie.

— Nie, ocalam jéj życie, odpowiedziała spokojnie Gracioza.

Upłynęło parę minut w pełnem niepokoju oczekiwaniu, potem usta choréj uchyliły się trochę, powieki zadrgały lekko.

— Zabierzmy ją ztąd prędko! zawołała znów pani de Fouzolle, biegnąc po powóz.

— Gdzie? zapytała Gracioza, czy do Bayonny?

— Ma się rozumiéć.

— Nie dojechałaby tam teraz.

Tak straszna przepowiednia przejęła wszystkich dreszczem.

— Cóż więc czynić?... zawołała łkając margrabina.

— To nie może być prawdą, odezwał się nakoniec ojciec, który tylko w ważnych wypadkach objawiał swoje zdanie. Zemdlenie nie pociąga za sobą niebezpieczeństwa.

— To choroba gór, powtórzyła Gracioza.

— Zdaje ci się! nie jesteśmy na takiéj wysokości aby powietrze miało być zaduszające.

— Dla pana, nie, ale dla niéj...

— Jakąż widzisz różnicę?

— Czy może pan porównywać siłę swych piersi z jéj piersiami! odpowiedziała niecierpliwie wskazując palcem szerokie jego ramiona i wątłą postać córki.

— Musimy przecie coś obmyśléć, odezwała się z boleścią pani de Vambry.

— Czy pani margrabina może wierzyć téj dziewczynie? odezwała się Matylda.

— Tak, wierzę jéj, odpowiedziała pani de Fouzolle; wieśniaczki mają niekiedy pod tym względem więcéj od nas doświadczenia.

Gracioza, nie troszcząc się o to czy otaczające osoby wierzą lub nie jéj zapewnieniom, cuciła daléj Maryę Annę prostemi środkami, używanemi na wsi. W końcu, gdy starania jéj nie przynosiły skutku tak prędko jak pragnęła, przyłożyła usta do uchylonych ust choréj, i zaczęła wdmuchiwać swój ciepły, silny i czysty oddech w jéj piersi.

Wszyscy patrzyli na nią niespokojnie.

Wyprostowała się nagle, zawoławszy;

— Proszę mi pomódz!... przeniesiemy ją.

Mężczyźni podbiegli na jéj wezwanie, ale Stefan wyprzedził innych. Dała mu pierwszeństwo nad ojcem nie śpieszącym się tak bardzo, i wspólnie z nim podniosła chorą.

W całéj jéj postawie było tyle powagi i taka pewność siebie, że nie sprzeciwiano jéj się wcale.

Marya Anna niesiona przez Stefana i Graciozę, oddychała już, ale nie mogła jeszcze mówić. Spuszczali się wolno z płaszczyzny, a wszyscy udali się za nimi, nie rozumiejąc po co tam idą, ale odgadując że dla dobra choréj powinni zastosować się do woli téj dziwnéj i śmiałéj dziewczyny.

— Przyznaj, droga Matyldo, rzekła pani de Vambry zbliżając się do pani Bernard, że chyba nie musiałaś sądzić aby panna de Fouzolle była do tego stopnia słabowitą, kiedy powzięłaś myśl wyswatania z nią mego Stefana.

Jakkolwiek mówiła zupełnie cicho, Gracioza posiadająca słuch bardzo bystry, jak zwykle górale, usłyszała te jej słowa.

Obrzuciła pełnem litości spojrzeniem wątłą istotę któréj głowa spoczywała na jéj ramieniu, a potem zatrzymała czas jakiś oczy, na pięknéj i pełnéj życia twarzy młodego oficera.

Mały, nizki domek, stał przy drodze, nie daléj jak o sto kroków, w jedynem jego oknie powiewała niebieska firanka, a tuż przed progiem znajdowała się barierka dochodząca do połowy drzwi.

— Tam ją zaniesiemy, odezwała się Gracioza.

— Zabierasz ją do siebie? zawołała margrabina, na pół zadowolniona, na pół przestraszona tem postanowieniem.

— Tak, zabieram ją! odpowiedziała z jakimś dziwnym uśmiechem.

Rzeczywiście zdawało się że unosi jakąś zdobycz, którą pragnie ukryć w wielkiem białem łóżku, umieszczonem w głębi izby, stosownie do miejscowego zwyczaju.

— Pozostanę tu przy niéj, rzekła margrabina.

— I owszem, odpowiedziała. Będzie pani mogła spać w izdebce, na górze.

— Ja zaś pojadę po naszego doktora, odezwał się hrabia de Fouzolle, znudzony i zniecierpliwiony tym wypadkiem.

— Postąpisz pan bardzo właściwie, powiedziała pani de Vambry.

— Kto wie? szepnął Stefan.

Powozy zwróciły się także na drogę do Mouguerre i czekały przed domem. Pan de Fouzolle wskoczył do swojego, i prosił pana Bernard aby mu towarzyszył, na co ten zgodził się najchętniéj, przekładając woń cygara nad towarzystwo dam.

Matylda chciała także popisać się ze swą troskliwością, pozostając przy choréj, ale margrabina przełożyła jéj, że obowiązki gospodyni domu nakazują jéj wrócić do Bayonny.

Pani de Vambry wsiadła już także do powozu, ale Stefan stał jeszcze na progu, jakby nie miał siły oderwać się od tego miejsca, w którem teraz obecność jego stawała się niewłaściwą. Musiał odejść nareszcie, gdy Gracioza zbliżyła się do niego z temi pocieszającemi słowami:

— Śpi teraz. Rana już opatrzona, oddech spokojny. Jutro oddam ją panu.

— Jutro?... powtórzył machinalnie.

— Skoro będzie trochę silniejsza.

— Jutro?...

— I skoro oddech jéj będzie swobodniejszy.

— Jutro?... a późniéj?

— Późniéj, będzie jak Bóg rozporządzi, odpowiedziała trochę opryskliwie.

Odwróciła się i weszła do izby w któréj margrabina płakała. Pan de Vambry usiadł zamyślony na przeciwko matki, i powóz potoczył się drogą przez Saint-Pierre, to jest inną jak przedtem.

V.

Pan de Fouzolle szukał długo nadaremnie swego domowego doktora, co wprawiło go w gorszy jeszcze humor; znalazł go dopiero przed samym wieczorem.

— Doktorze! zawołał, opisując mu cały wypadek. Marya Anna udała się do krzyża w Mouguerre, ma się rozumiéć powozem. Zjadła trochę owoców, napiła się świeżéj wody, uczuła że jéj tchu zabrakło, zemdlała, i upadając rozcięła czoło o kamień.

— Tam do licha! zawołał doktór.

— Nie można ją było otrzeźwić żadną miarą. Szczęściem nadeszła w samą porę jakaś wysoka, prześliczna wiejska dziewczyna, zaczęła ją ratować po swojemu, uderzać w jéj dłonie, i, co na to powiesz doktorze?... wdmuchiwać jéj swój oddech w usta.

— Ho! ho! odezwał się znów doktór.

— Otóż to właśnie okazało się skutecznem. Czy cię to nie zadziwia, doktorze?

— Mnie panie hrabio, nic nie zadziwia... zwłaszcza przy takim stanie zdrowia jak panny de Fouzolle.

— Wiem, wiem... powiedział ojciec wstrząsając głową.

— Ale jakże się to skończyło?

— Tak, że ta śliczna dziewczyna zabrała moją córkę do siebie, utrzymując, że z powodu rany, osłabienia i tak ciężkiego zemdlenia, byłoby bardzo niebezpiecznie przewozić ją do Bayonny. Musieliśmy zastosować się do jéj woli.

— Jakto! panna Marya Anna została w Mouguerre?

— Tak; stryjenka jest przy niéj i oczekuje tam na pana. Sądzę że nie zbywa jéj tam na troskliwéj opiece, zwłaszcza że ta dziwna dziewczyna zdaje się posiadać w wysokim stopniu dar pielęgnowania chorych.

— Dziwna, rzeczywiście, powiedział śmiejąc się doktór. Gotówbym się założyć że panna de Fouzolle dostała się w ręce niezwykłéj istoty, bardzo pięknéj, rozumnéj, i trochę dzikiéj, a którą, o ile mi się zdaje, posądzają niektórzy w górach o czary.

— Mieszka w małym, odosobnionym domku; po prawéj stronie drogi.

— Dom Irribery; to ta sama.

— Więc pan zna tę dziewczynę?

— Tak, jako całkiem niezwykłą osobistość.

— Ale... co do jéj znajomości lekarskich?...

— Ha!... ha!... roześmiał się doktór, nie radziłbym nikomu utrzymywać w Mouguerre, że Gracioza Irribery nie jest mędrszą od wszystkich razem doktorów w Bayonnie.

— Wszak pojedziemy, doktorze? zapytał pan de Fouzolle z takim wyrazem jakby spełniał jakąś ofiarę.

— Dziś jeszcze, panie hrabio?

— Tak... nie mogę zostawić Maryi Anny bez...

— Zjem tylko obiad, i natychmiast wrócę.

Doktór Dubois pośpieszył się rzeczywiście i wkrótce pojechał razem z hrabią do Mouguerre.

Cienie zbliżającéj się nocy, cisza wiejska, potrzeba otworzenia przed kimś serca, napadająca pewne natury po sutym obiedzie, skłoniły pana de Fouzolle do wynurzenia towarzyszowi podróży swych osobistych niepokojów.

Stan zdrowia córki dręczył go niewymownie; nie mógł się doczekać najlżejszego polepszenia. Czy Marya Anna miała suchoty?... Czy to anemija pozbawiła lica jéj świeżości a oczy blasku? Gdyby można ją było wydać za mąż!... może to nowe życie, nie tak jednostajne, ogrzane ciepłem uczucia, sprowadziłoby zbawienną zmianę. Ale jakże tego dokazać? Kto tylko przybył z zamiarem starania się o jéj rękę, cofnął się przestraszony po pierwszem widzeniu, i pomimo nadziei wielkiego posagu, nie miał odwagi żądać powtórnego spotkania. Toż samo stało się i dziś.. niestety.... Byłaby to jednak bardzo pożądana partya!... człowiek młody, bardzo dystyngowany... z najpiękniejszą przyszłością... nie bogaty... słowem łączący wszystko czego sobie tak gorąco życzono... Bo trzeba wyznać że ta ciągła choroba zasmucała domowe ognisko nieszczęśliwego ojca, i zasępiła mu życie!... Nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat... Poświęcił się dla córki... Gdyby mógł jéj dać choćby tylko pozór zdrowia, i wydać ją za mąż nicby mu nie przeszkadzało pomyśléć też trochę i o sobie. Znał ludzi w jednym z nim wieku którzy ożenili się powtórnie i byli bardzo szczęśliwi... poznał nawet bardzo przystojną wdówkę, któréj przychylność byłoby mu łatwo pozyskać. Czy byłoby to zupełnem niepodobieństwem nadać téj biednéj Maryi Annie tylko pozór zdrowia, na jakie kilka miesięcy... choćby na kilka tygodni?... aby można skleić jakieś małżeństwo.

Doktór słuchał milcząc. W jego powołaniu można nasłuchać się wielu zwierzeń, i być świadkiem mnóstwa zdrożności, Nie oburzała go nikczemność, i patrzył spokojnie na niegodziwe postępki.

— Panie hrabio, odpowiedział obojętnie, bardzo mi przykro że nie mogę spełnić pana życzeń. Już od trzech lat staram się, napróżno, niestety! wrócić zdrowie pannie de Fouzolle; co się zaś tyczy nadania jéj pozoru zdrowia, to nie wchodzi w zakres méj sztuki.

Hrabia pochylił głowę, trochę zmieszany tą nauczką.

— Powiedz mi więc przynajmniéj szczerze co jéj jest.

— Panna de Fouzolle cierpi na niedokrwistość... a pani de Fouzolle, do której jest nadzwyczaj podobna, umarła... na suchoty.

— Wiem o tem dobrze.

— W każdym jednak razie płuca są dziś jeszcze zdrowe.

— Ale czy jutro tak będzie?

— Zatrzymaj się przed tym domkiem. gdzie jeszcze widać światło, zawołał doktór na furmana, unikając odpowiedzi na ostatnie pytanie,

Zatrzymali się wkrótce przed domem Graciozy Irribery, jedynym już, w którym o tak spóźnionéj porze paliło się światło. Gracioza ukazała się natychmiast na progu. Bystrym obdarzona słuchem, oddawna już słyszała turkot powozu na drodze.

— Proszę wejść, rzekła, tylko cicho.

Pierwotnego jeszcze kształtu lampka, roztaczała dokoła łagodne światło, przy którem przedstawił się doktorowi Dubois obraz godny penzla Van Ostade'a. Izba była obszerna, kwadratowa, połyskująca czystością, umeblowanie jéj składało się z dwóch wielkich kufrów, prostego stołu i kuchennych miedzianych naczyń, stanowiących bogactwo w téj okolicy, w których odbijało się światło.

Przy kominie, na krześle, drzemała margrabina, wsparłszy głowę o ścianę, pomiędzy wydrążoną tykwą i kolorowaną ryciną. Długi tren jéj sukni rozciągnięty przed kominem, uszczuplał znacznie miejsce zajmowane zwykle przez wielką białą kozę, zadziwioną i widocznie niezadowolnioną tem targnięciem się na jéj własność.

— Co się to stało? zawołała margrabina przebudziwszy się nagle.

Biała koza zerwała się, przebiła rogami zawadzającą jéj suknię i wyskoczyła za drzwi.

— Co za szkaradne zwierzę! rzekła margrabina, nie lubiąca wsi, zwierząt i wieśniaków, dla tego zapewnie że nigdy wśród nich nie żyła.

— Cicho! odezwała się upominającym głosem Gracioza.

Zasłoniła ręką lampkę, obawiając się aby światło nie przebudziło choréj, a z wyrazu jéj twarzy nie można było wnosić że ją cieszy tak spóźniona wizyta doktora.

Marya Anna otworzyła oczy, poznała swego doktora i uśmiechnęła się smutno. Wiedziała że dotąd nie zdołał jój przynieść upragnionéj ulgi. Wszakże po to jedynie zwiedziła wszelkie lecznicze źródła we Francyi, aby zamiast spodziewanego polepszenia zdrowia, nabrać coraz silniejszego przekonania o bezsilności sztuki lekarskiéj. Po co więc było sprowadzać tu do niéj lekarza?...

— Tak mi było dobrze! szepnęła przytulając głowę do poduszek.

Doktór Dubois zbliżył się do choréj, wypytywał się, łajał. Co za nierozwaga! męczyć się!... narażać na zbyt ostre powietrze!... pić zimną wodę!...

Nie bardzo dowierzał aby to miała być górska choroba, z powodu że wysokość nie była jeszcze tak znaczna, jednak powietrze mogło być za ostre dla osoby tak delikatnéj.

— Nie obmawiaj pan powietrza w Mouguerre! zawołała Marya Anna. Zdawało mi się zrazu że jest dla mnie za silne, że nie potrafię niem oddychać... ale jeżeli mnie zaduszało to i upajało zarazem.

Doktór chciał sprostować to określenie, ale nie pozostawiła mu na to czasu.

— Otóż omyliłam się... jest to powietrze zdrowe, orzeźwiające; oddycham nim z największą przyjemnością... Proszę pana, otwórz całkiem drzwi, abym się niem mogła nasycić dowoli.

Doktór trochę zaniepokojony jéj uniesieniem, byłby wolał zamknąć drzwi zupełnie, ale Gracioza spełniła natychmiast jéj życzenie.

— A czy ta rana na czole bardzo pani dokucza? zapytał, odsuwając lekko chustkę którą Gracioza przewiązała jéj czoło.

— O! prawie nie czuję bólu. Nie poruszaj pan chustki.

— Byłoby to całkiem zbyteczne, odpowiedział z uśmiechem, masz pani nieocenioną infirmerkę; nie napróżno utrzymują, dodał złośliwie, że umie doskonale opatrywać rany... przemytników, lękających się zawezwać pomocy lekarza.

— Staram się być użyteczną, o ile to w méj możności, odpowiedziała poważnie Gracioza; jednak to co czynię jest tak mało znaczącem że nie warto o tem wspominać.

— Zdaje mi się że dziś zrobiłaś bardzo wiele, bo panna de Fouzolle po tak długo trwającem zemdle-

niu i niebezpiecznem upadnięciu, ma oddech lekki, puls spokojny, i jest stosunkowo lepiéj... ale tylko stosunkowo... jak zwykle.

— A! dzięki Bogu! zawołała margrabina. Tak się o nią lękałam.

— Może pani być spokojną: ten wypadek, jakiekolwiek były jego powody, nie pociągnie za sobą złych następstw.

— Więc zapewnie moglibyśmy zaraz przewieźć naszą chorą do Bayonny?

— Zawsze lepiéj że tu pozostała.

— O! tak, daleko lepiéj! zawołała Marya Anna.

Gracioza rzuciła na nią życzliwe zarazem pełne litości spojrzenie.

— Ale jutro będziemy mogły opuścić te nieszczęsne góry? odezwała się znów margrabina, czująca wstręt do wiejskich chatek.

— Bezwątpienia... byleby tylko gorączka nie wróciła rano.

— Gorączka już nie wróci, powiedziała Gracioza.

Doktór ukłonił jéj się z ironicznym uśmiechem, i byłby z pewnością odpowiedział uszczypliwie na tę tak stanowczą przepowiednię, gdyby nie wyszła z ust kobiety tak pięknéj i tak skoréj do oddania komuś przysługi.

Pan de Fouzolle zaczął się znów niecierpliwić. Skoro córka jego wróciła do zwykłego stanu zdrowia, nie mieli potrzeby pozostawać tam dłużéj.

— Może pojedziemy już, doktorze? zapytał.

— Jestem na rozkazy. Nie zapiszę dziś nic, skoro panna de Fouzolle ma wrócić jutro do Bayonny. Zdaje się że noc przejdzie spokojnie, a więc i pani margrabina będzie mogła udać się na spoczynek. Raz jeszcze zbadał puls choréj, i dodał odchodząc:

— A więc do zobaczenia; będę miał honor dowiedzieć się jutro o zdrowie pani.

Hrabia pocałował córkę, uścisnął rękę bratowéj, wymruczał jakieś podziękowanie, na które Gracioza nie zwróciła całkiem uwagi i wsiadł z doktorem do powozu.

Po ich odjeździe, pozostałe w domku kobiety zamieniły z sobą szczere dobranoc, gdyż margrabina nie mogła mieć żalu do młodéj gospodyni, że nie znalazła w jéj domu wygód do których przywykła. Zgodziła się na to że będzie spać w pokoiku na górze, na czystem ale twardem łóżku, które zapewnie dawniéj należało do rodziców Graciozy. Sama zaś gospodyni domu postanowiła przepędzić noc na nizkiem krzesełku, które tak przysunęła do łóżka że mogła oprzéć głowę prawie na nogach choréj.

— Będziesz jutro bardzo zmęczona, i może żałować będziesz tego coś uczyniła dla mnie, rzekła do niéj Marya Anna.

— Jestem silna, i nie żałuję nigdy tego co uczyniłam z dobrego serca.

— Więc obudziłam w tobie trochę współczucia?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem, doprawdy.

Widząc że Marya Anna spojrzała na nią z zadziwieniem, dodała:

— Przynajmniéj nie umiałabym tego wytłomaczyć.

— Może będąc sama tak silną, i jak się zdaje szczęśliwą, litujesz się nad mojem wątłem zdrowiem, i nad mojem smutnem życiem.

— Być może.

— Dałaś dowód wielkiéj, bardzo wielkiéj dobroci!... i znajomości lekarskiéj także. Opatrzyłaś mi czoło jakimś balsamem, który ukoił ból, uspokoił bicie pulsu w skroniach, i sen sprowadził. Co to był za balsam?

— Sok z ziół baskijskich.

— Dałaś mi do wąchania jakieś krople orzeźwiające jak powiew wiosennego wiatru, a wzmacniające jak kordiał. Co to takiego? Woń ich nie znana mi wcale.

— Bo też krople te są całkiem nieznane w miastach.

— Doktór powiedział że leczysz przemytników, czy w istocie znasz sztukę lekarską?

— Umiem tylko to czego mnie matka nauczyła. Matka moja była kochaną od wszystkich.

— A ty, Graciozo, czy nie jesteś tak kochaną jak ona?

— Kochaną jestem, ale nie jak ona.

Marya Anna miala wielką ochotę wypytywać się dłużéj, tak jéj się podobały te krótkie, urywane odpowiedzi, do których nie była przyzwyczajoną, ale Gracioza nie zdawała się usposobioną do rozmowy. Dwa razy wieczorem czoło jéj zmarszczyło się pod wrażeniem jakiejś przykréj myśli, to jest kiedy doktór a następnie Marya Anna wspomnieli o przemytnikach.

— Trzeba teraz spać, rzekła stanowczym tonem, aby doktór nie mógł powiedziéć jutro, że jestem czarownicą zabijającą ludzi szkodliwemi ziołami.

— Ale on przeciwnie był bardzo zadowolniony ze mnie.

— A! doprawdy?

— Zdajesz się o tem powątpiewać.

— Nie lubi aby ktoś wyzdrowiał bez jego pomocy.

Marya Anna usiadła na łóżku.

— A ty mogłabyś mnie uzdrowić? zapytała niespokojnie.

Gracioza milczała.

Biedna Marya Anna powtórzyła to pytanie, złożywszy ręce jak do modlitwy.

— Ty mogłabyś mnie uzdrowić, wszak prawda?

Gracioza zbliżyła się do niéj, przechyliła lekko jéj głowę na poduszki, przesunęła rękę po jéj oczach i czole i rzekła cichym i wesołym głosem jakim się przemawia do dzieci:

— Śpij; ja uzdrawiam tylko tych którzy mnie słuchają.

Marya Anna zamknęła oczy i leżała spokojnie; ale nadzieja która nagle zabłysła w jéj duszy zasnąć jéj nie dozwalała. Ta piękna dziewczyna tak małomówna, i posiadająca tak głębokie spojrzenie, obudziła w niéj tę nadzieję tak często omyloną, że nie wierzyła już aby ją kiedykolwiek mogła odzyskać i wierzyć, że ktoś potrafi przywrócić jéj zdrowie.

Kiedy ją przeniesiono pod jéj dach, była tak słabą że obawiano się przewieźć ją do Bayonny, ale zaledwie zażyła przyrządzone przez nią lekarstwo, uczuła się raźniejszą. Jakim sposobem Gracioza mogła zasłynąć jako lekarka i nabyć tych wiadomości?... Musiały jéj być chyba przekazane przez jéj matkę... przez tę matkę kochaną od wszystkich.

Jeżeli nawet Gracioza nie znała sztuki uzdrawiania, to przynajmniéj posiadała niewątpliwie dar przynoszenia ulgi. Marya Anna czuła się przy niéj spokojniejszą; cieszyło ją to że ona czuwa nad nią. Z prawdziwą także przyjemnością pomyślała, kiedy nad ranem sen zaczął sklejać jéj powieki, że zasypia pod opieką téj prawdziwéj siostry miłosierdzia, któréj brak tylko było zakonnego ubrania.

VI.

We wspaniałym pałacu pana Bernard, przy Alejach morskich, godziny wieczorne upływały wolno, ociężale, a wszystkie czoła były zasępione.

Matylda nie mogła darować Maryi Annie, że zaraz przy pierwszem widzeniu, nagłem swojem zemdleniem dowiodła że prawdziwem było szaleństwem myśléć o wydaniu za mąż tak chorowitéj osoby.

Pani de Vambry żałowała, że zachęcona świetnemi nadziejami, zgodziła się zbyt pośpiesznie na odbycie tak dalekiéj podróży: i pomimo całéj znajomości świata nie zdołała ukryć zupełnie, że przykrość pochodząca z doznanego zawodu, zmniejszała bardzo przyjemność spędzenia kilku dni obok jéj młodéj przyjaciółki.

Stefan był tak zamyślony, taki jakiś nie swój, że nawet matce jego wydało się to niewłaściwem. Nie byłoby w tem nic dziwnego gdyby ktoś ubolewał w duszy nad utratą tak świetnéj partyi, ale wszakże wiek Stefana, jego zawód i położenie towarzyskie, obiecywały mu najpiękniejszą przyszłość. Nie miał więc powodu tak bardzo trapić się i zamyślać. Wesoły uśmiech tak dobrze przypadał mu do twarzy. Gdy koło jedenastéj przyszedł powiedziéć jéj dobranoc, zatrzymała go chwilkę w swoim pokoju.

— Rozjaśnij już to czoło pokryte chmurami, kochany mój synu, rzekła z czułością; Matylda postąpiła nieroztropnie przywołując nas tutaj, ale wszakże przybyłeś tu jedynie stosując się do moich życzeń. Opatrzność chciała nam pokazać, że bogactwo nie może wynagrodzić braku tak wielkiego skarbu jakim jest zdrowie, a ponieważ układy nie zostały jeszcze rozpoczęte, możemy się wycofać z największą łatwością. Omyliliśmy się i nic więcéj.

— Tak, omyliliśmy się, rzekł Stefan, a jest to kara za bezwiedną chciwość bogactw, od któréj jednak, sądziłem się być wolnym!

— Ty oskarżasz się o chciwość!... wszakże byłbyś się ożenił jedynie aby nie sprzeciwić się moim życzeniom.

— Było to złem, jak widzisz sama, droga matko.

— Jakto... złem?

— Jeżeli serce nasze zostaje w sprzeczności z tem co czynimy, jestże dobrze, moralnie, postępować daléj bez względu na jego przestrogi?

— Mój Boże! jakimże moralistą stałeś się nagle.

— Bo gdyby nie ten nagły wypadek, złe moje zamiary mogłyby dojść do skutku.

Pani de Vambry wybuchła wymuszonym śmiechem, śmiechem matki nie chcącéj słuchać głosu sumienia, kiedy idzie o świetne ożenienie syna.

— No! teraz możesz już być spokojnym, mój ty drogi Katonie! odezwała się żartobliwie; okoliczności uwzględniając drażliwość twego sumienia, zwolniły cię od przymusu starania się o tę biédną dziewczynę.

— Zasługuje rzeczywiście na szczere politowanie! powiedział z wyrazem współczucia.

— O! tak... ale cóż czynić? Pomimo najszczerszéj chęci nic na to poradzić nie mogę... Poszukamy coś lepszego.

— Nic nie nagli, droga matko.

— Tak, głównie o to tylko idzie abyś ty był szczęśliwym

Uściskał matkę za to serdeczne słowo, i odszedł aby mogła marzyć lub śnić swobodnie, że jéj ukochany Stefan prowadzi do ołtarza młodą panienkę, bogatszą jeszcze od Maryi Anny, piękną jak anioł i silną jak dąb. *(d. c. n.)*

Opis do N-ru 44.

N. 1—2. Ubrania wieczorowe.

N. 1 i 6—7. Suknia z draperyą à panier.

Suknia z czarnego jedwabnego repsu, strojnie przybrana koronką i pasmanteryą jedwabną przerabianą dżetem, ma stanik z bardzo przedłużoną z przodu baskiną, zachodzącą na panier, a przód spódnicy ułożony w równe, płaskie kontrafałdy przedzielane pasmanteryą. Tren ogarnirowany był wązkiem, drobnem plisowaniem i koronką, przyszytą pasmanteryą. Rękawy do łokcia odrobione być mogą podług ryc. 1 lub suto przystrojone crêpe-lisse i koronką jak na ryc. 6 i 7.

N. 2. Suknia ze stanikiem wyciętym bawetowym.

Biała atłasowa, balowa suknia, miała stanik kirasowy wycięty, z tułu sznurowany, z przodu bawetem zakończony. Zgrabna berta i sute rękawki zrobione z blondynowego tiulu, ruloników atłasowych i kokard z białej wstążki. Na przednich brytach spódnicy ułożona dwoista draperya à panier, oszyta koronką przepinaną pukielkami z wstążki, z boków na zeszyciu z brytami tylnemi zakończona jest koronką wachlarzowo układaną. U dołu przednie bryty spódnicy ozdobione dwoma falbanami z koronki przepinanej pukielkami, a tren zdobi garnirunek z atłasu fałdowanego, ułożonego w rozetki i przepinanego wstążką.

N. 3—5. Kapturek do płaszczyka podróżnego, mogący być zakładany na głowę. Krój na dodatku z formami N. III, Fig. 12—14.

Kapturek stanowiący zarazem bardzo praktyczne przykrycie głowy od zimna lub deszczu, odrabia się oddzielnie, a następnie przypina pod wykładanym kołnierzem do płaszczyka. Rycina 3 przedstawia kapturek założony na głowę, rycina 4, płasko złożony, a rycina 5 przypięty i zręcznie na płaszczyku ułożony. Najpierw trzeba pod główne części kapturka, przykrojone podług Fig. 12 i 13 dać podszewkę jedwabną, następnie część Fig. 13 złączyć z ranwersem Fig. 14, od W do *, potem części te zeszyć stębnówką z Fig. 12 od U do V i Y. Ponieważ Fig. 14 stanowi (przy założeniu kapturka na głowę) rodzaj daszka, któren w górę podniesiony lub nad czoło spuszczony być może, trzeba go więc przykroić podwójnie, dać w środek sztywną podszewkę i przestębnować cały w maszynie w odstępach 1-go cent.; w równych odstępach przestębnowany jest w okrąg środek kapturka, jak to widzimy na ryc. 4 i 5. Do spinania kapturka pod brodą, dodany jest z podwójnego materyału pasek na guziki przypinany, mający $2\frac{1}{2}$ cent. szerokości a 19 długości.

N. 8—9 i ryc. 15 w N. 45. **Ubranie** z długim stanikiem i spódnicą upiętą w draperyę. Krój stanika N. VII, Fig. 39—44.

Rycina 15 w N-rze 45 przedstawia ubranie złożone ze spódnicy z gładkiego wełnianego materyału i długiego stanika pluszowego, aksamitnego lub z pekinu, w takim samym kolorze, któren służy także na szerokie plisy do ubrania spódnicy. Na Fig. 39—44 podajemy formę stanika osobno przedstawionego na ryc. 8, a Fig. 39—44a uczy zestawienia ze sobą części stanika. Części pleców Fig. 41—42, zeszywają się ze sobą tylko od E do F od F do dołu zakładają się tylko jedne na drugie i zczepiają gwiazdką do gwiazdki. Spódnicę oszywa się plisowaniem 33 cent. szerokiem, w środku przestębnowanem, w górze zakończonem nagłówkiem 4 cent. szerokiem. Na Fig. 45 dajemy mały model i miary połowy draperyi, którą w odstępie 30 cent od paska, układa się na spódnicy. Przedni bryt *a* ozdobiony jest w górze plisą 14 cent. szeroką, z boków sfałdowany podług znaków do 50 cent długości, bryt tylny *b* jest z boków również przyfałdowany, u dołu gwiazdką do gwiazdki wywinięty i pluszową plisą obłożony. Kokardy z wstążki w atłasie 6 cent. szerokiej. Trochę odmienny stanik z pekinu do sukni wełnianej, podajemy na ryc. 9.

N. 12—13. Agrafki dwie. Tak do przystrojenia kapeluszy jak i do przepięcia kokard przy krawacie, ciągle używane są rozmaite błyszczące agrafki, już to metalowe z kamieniami lub dżetowe, z konchy perłowej i t. p., nabijane stalą, srebrem lub złotem.

N. 20. Żabot z muślinu i koronki, układa się z dwóch prostych kawałków muślinu, mających po 18 cent. długości a 12 szerokości, w jednym końcu w ząb ściętych i oszytych koronką bretońską 5 centym. szeroką; węzły układa się z dwóch skośnych kawałków także 12 centym. szerokich.

N. 21. Żabot z indyjskiego muślinu i koronki. Dolną część żabota układa się w drobne, ściśle zachodzące fałdki, z prostego 18 centym. długiego kawałka indyjskiego muślinu, oszytego koronką bretońską, któren u dołu po splisowaniu mieć powinien około 15 cent. szerokości a w górze ściśle zsunięte fałdy przyszywa się razem z 7 cent. szeroką plisowaną koronką. Boki oszyć gładko koronką 2 cent. szeroką, która oszywa się także w węzeł i górne dwa końce od dołu skośnie ścięte i drobno plisowane.



N. 1—2. Ubrania wieczorowe.

N. 1. Suknia z draperyą à panier. N. 2. Suknia z wyciętym bawetowym stanikiem.

N. 22. Kokarda haftowana do kołnierzyka. Model zrobiony był z miękkiej, kiprowanej, blado niebieskiej materyi, złożonej podwójnie i oszytej szlaczkiem 5 cent. szerokim, haftowanej ściegiem płaskim, blado niebieską filozelą, na białej crêpe de chine.

N. 23—24. Podstawka miedziana i talerz płaski cynowy ozdobiony rysunkiem wypalanym.

Różne drobne przedmioty wyrobione z miedzi, cyny i t. p. metali, można ładnie własnoręcznie ozdobić deseniami, które najpierw rysują się na papierze do kopjowania, naklejają w odpowiednich miejscach, a następnie pociągają za pomocą pendzelka cieczą gryzącą, którą kupić można gotową lub przyrządzić podług następującego przepisu: dwie części pokostu asfaltowego, 1-ną część żółtego wosku, 1-ną część kalafonii sproszkowanej, rozpuszcza się w trochę olejku terpentynowego, lecz nie na ogniu tylko postawione na gorącej blasze albo wstawione w gorącą wodę i mieszane ciągle, dopókąd wszystkie części nie rozpuszczą się zupełnie. Robota wymaga bacznej uwagi ażeby ciecz gryząca nigdzie nie przechodziła za kontury deseniu, a gdyby to się przytrafiło trzeba zaraz zebrać ją staranie cienkim, śpiczasto zakończonym drewienkiem. Cienkie żyłki w listkach i arabeskach rysuje się igłą dopókąd pokost nie zaschnie. Po wykończeniu roboty, przedmioty cynowe zanurza się w płynie zmieszanym z trzech części wody dystylowanej, jednej części serwaseru, 1-nej chlorkupotażu (Chlorekali) w którym moknąć powinny $1\frac{1}{2}$—2 godzin, stosownie do tego czy zagłębienie deseniu chcemy mieć mniejsze lub większe. Następnie wyciera się sprzęcik lekko do suchości bibułą, zostawia spokojnie przez godzinę, potem myje się miejsca rysowane terpentyną oczyszczoną, a tło gładkie czyści aż do połyska. Jeżeli się chce cynie nadać pozór starego srebra, to naciera ją się po wyczyszczeniu szczoteczką maczaną w czarnej olejnej farbie a po wyschnięciu wyciera najpierw bibułą a potem miękką skórką.

Z przedmiotami miedzianemi postępuje się w podobny sposób jak z cynowemi, tylko płyn gryzący składa się z równych części serwaseru i wody dystylowanej, jeżeli jednak tworzyłyby się na nim duże bańki to jest za mocny i trzeba dodać tyle wody żeby tylko powstawały małe perełki. Po wyczyszczeniu nie pociąga się miedzianych przedmiotów farbą olejną tylko lakierem przezroczystym wyrabianym w fabrykach dla zachowania miedzi nowego połysku, bez mozolnego czyszczenia. Na Fig. 71—72 dajemy części deseniu na podstawkę miedzianą, a na Fig. 68—70 desenie na talerz cynowy.

N. 25—27. Patarafka płócienna ozdobiona haftem tamborkowym

Na kawałku grubego, białego płótna trzymającym $17\frac{1}{2}$ cent. w kwadrat daje się z czterech brzegów aplikacyę z trójkątów aksamitu ciemno bordo, które w obydwóch brzegach mają po 7 cent. długości, i przyhaftowane są do płótna nitką złotą i kordonkiem niebieskim ściegiem łańcuszkowym, podług próbki ryc. 25 lub 26. Arabeskę środkową haftuje się jedwabiem bordo, niebieskim i nitką złotą, a frendzlę białą bawełnianą, ozdobioną kwaścikami z włóczki bordo, wszywa się między wierzch i podszewkę.

N. 28. Serwetka z płótna szarego deseniowego.

Serwetka trzymająca 18 c. w kwadrat z frendzlą 7 cent. szeroką odrobioną fabrycznie, zarówno jak i szlaczek w koło, haftuje się ściegiem długim, sznureczkowym i krzyżowym bawełną ponsową i niebieską. Na tle środkowem krzyżyki dawane są naprzemian w ten sposób iż tworzą kratkę.

N. 29. Pas do mebli haftowany różnokolorowym jedwabiem lub filozelą, na materyi meblowej z aplikacyą malowaną na aksamicie. Deseń na dodatku z krojami Fig. 35.

N. 32—33 i 37. Kosz okrągły do robót, ozdobiony haftem kolorowym. Desenie na dodatku z krojami Fig. 36 — 37. Próbki frendzli ryciny 32 i 33.

Okrągły kosz na nóżkach z wiekiem trochę wypukłem, pleciony z trzciny,



N. 4. Kapturek do płaszczyka ryc. 3. Złożony gładko. Patrz ryc. 3 i 5.

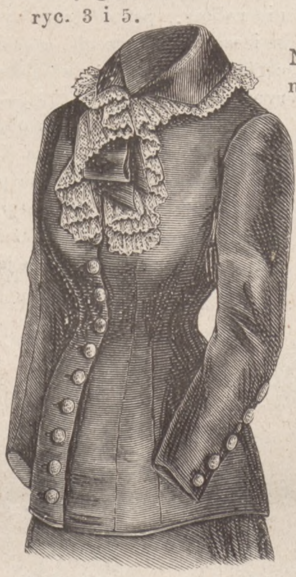


N. 6. Rękaw do łokcia stosowny do sukni ryc. 1.

pokryty był suknem ciemno oliwkowem; haftowanem kordonkami kolorowemi. Deseń na wieko dajemy na Fig. 36, a na arabeskę otaczającą boki na Fig. 37. Gałązkę arabeski którą się trzy razy powtarza, obrabia się rzędami sznureczkowemi z których dwa brzeżne kordonkiem bordo, dwa przy nich idące kordonkiem oliwkowym, a środek zapełnia się ściegiem cierniowym, jedwabiem blado niebieskim. Większe listki i środek kwiatu haftuje się kolorem jasno bordo, a maleńkie listki blado niebieskim, brzegi zaś odznacza się kolorem jasno oliwkowym. Piękną frendzlę robi się sposobem wskazanym na próbce 32 lub 33, z włóczki crewel w tych co haft kolorach. Pasek kanwowy potrzebny do frendzli ryc. 32, chowa się pod sukno.



N. 3. Kapturek do płaszczyka podróżnego zakładany na na głowę. Patrz ryc. 4 i 5. Krój N. III Fig. 12—14.



N. 8. Stanik pod szyję z żabotem koronkowym. Plecy na ryc. 15 w N. 45. Krój N. VII Fig. 39-44.



N. 10—11. Płaszczyk formą paletotow[ą] Krój i opis na arkuszu z formami N. I F. 1—6.

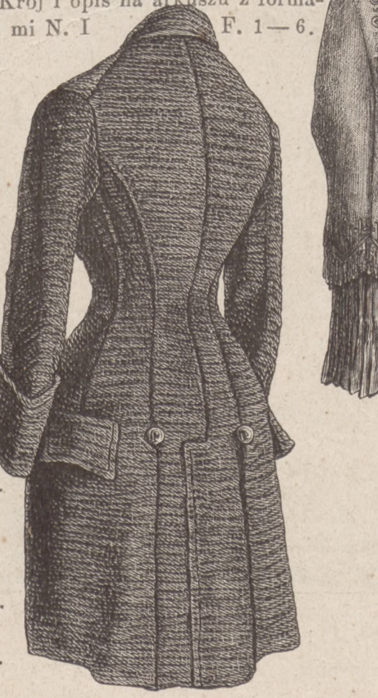
N. 12. Agrafka dżetowa nabijana stalą.



N. 15. Paletot wcinany. Zobaczyć plecy na ryc. 16. Krój i opis na arkuszu z formami N. IV Fig. 15—24a.



N. 1[4]. Plecy dolmanowego okrycia do ryc. 19 w N. 45.

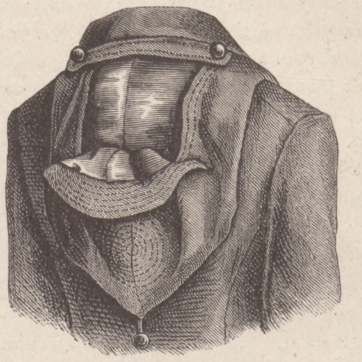


N. 16. Plecy do paltota wcinanego N. 15.



N. 40—41. Sukienka formą princesse dla panienki lat 10—12.

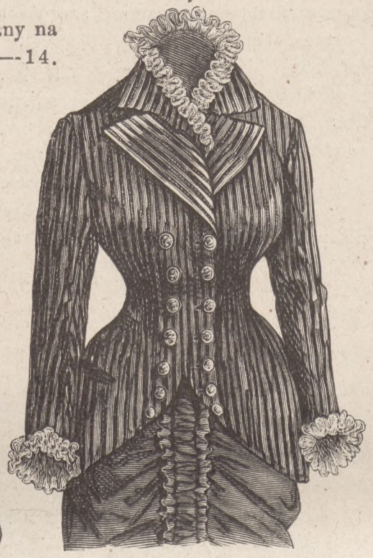
Sukienka z wykrojem w karo przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 40 i 41, odrobiona była z krepowanego indyjskiego kaszmiru koloru „ivoire,“ spódniczkę zdobiły dwa pasy garnirunku złożone z wązkich, drobno plisowanych falbanek i plis podwójnych z wypustką białą atłasową. Na ryc. 40 odcinana spódniczka jest w koło ułożona w płaskie kontrafałdy. Do pleców złożonych z czterech części, dodaje się od wcięcia w pasie materyału na przemarszczenie widoczne na rycinie, oprócz tego każda część pleców zakończona jest długim puklem podszytym atłasem. Plastron z przodu w równych odstępach trzy razy przemarszczany, układa się na gładkiej podszewce i zapina z jednego boku na kryte haftki, pod atłasowemi pliskami zdobiącemi przody. Szeroka szarfa z niebieskiego repsu, w podłużne fałdy złożona i pod kieszenią przeciągnięta, wiąże się z tyłu na duże kokardy.



N. 5. Kapturek do płaszczyka spuszczony. Patrz ryc. 3 i 4.



N. 7. Rękaw do łokcia stosowny do sukni ryc. 1.



N. 9. Stanik pod szyję z pekinu do ryciny 15 w N. 45.

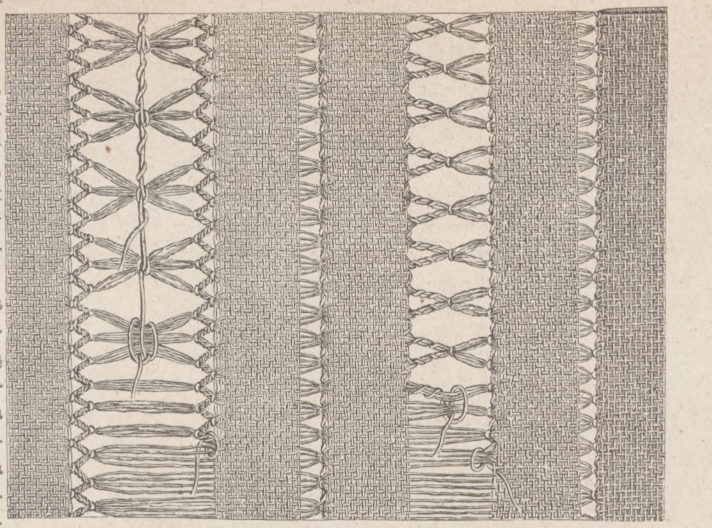
N. 13. Agrafka dżetowa ozdobiona bronzem złoconym.



N. 17. Płaszczyk jesienny z rękawami. Zobaczyć plecy na ryc. 18. Krój i opis na ark. z formami N. II F. 7-11a.

N. 42 i ryc. 17 i 23 w N. 45. **Suknia** z długim bluzkowym stanikiem dla niedorosłej panienki.

Gładką podszewkę można dać tylko pod karczek, albo też pod stanik aż za wcięcie w pasie, co dogodniejsze jest do ułożenia fałd Na modelu do sukni z jasnego kaszmiru, dodana była maleńka pelerynka, którą zrobić można z tego co suknia lub co garnirunek materyału. W miejsce peleryuki dać można duży biały kołnierz haftowany na batyście. Na ryc. 23 tunika oszyta koronką niciauą wywodzoną kolorowym jedwabiem upina się na spódnicy, a przyszycie górne zasłania baskina bluzki. Pasek i kokardy z materyi tego co kaszmir koloru. Na rycinie 42 sukienka z niebieskiej alpagi, ze spódniczką fałdowaną, w którą z przodu wstawiony był pas z materyi jedwabnej, ubrana koronką, kokardami ze wstążki i małemi guziczkami.



N. 19. Połowa pasa kratek do ryc. 6 w N. 45. Robota na kanwie „etamine."



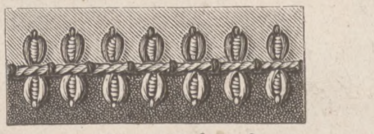
N. 21. Kokarda żabotowa z indyjskiego muśl nu i koronki.



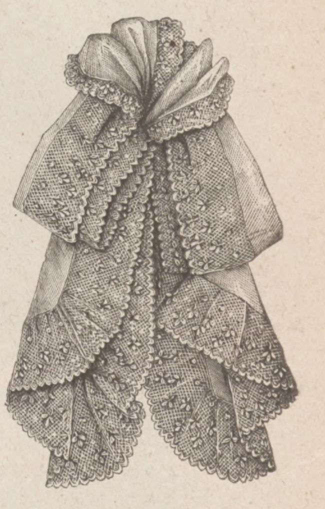
N. 22. Kokarda haftowana.



N. 25. Szlaczek do r. 27.



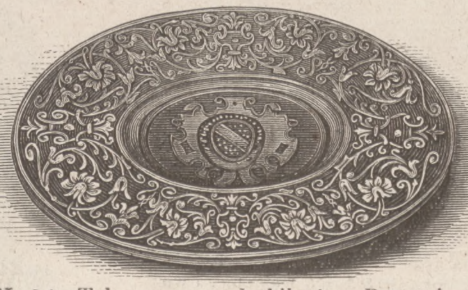
N. 26. Szlaczek do r. 27.



N. Kokarda żabotowa z muślinu i koronki.



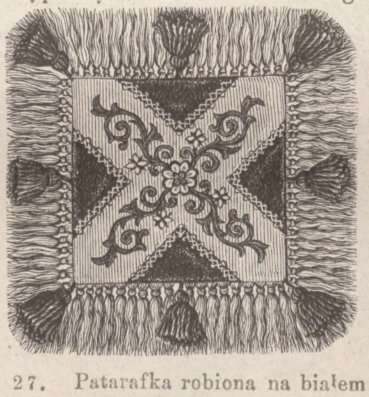
N. 23. Podstawka miedziana pod karafkę, ozdobiona rysunkiem wypalanym. Deseń na ark. Fig. 71—72.



N. 24. Talerz cynowy do biletów. Rysunek wypalany. Deseń na ark. Fig. 67—70.



N. 29. Pas do mebli. Haft różnokolorowy z aplikacyą malowanego aksamitu. Deseń na arkuszu Fig. 35.



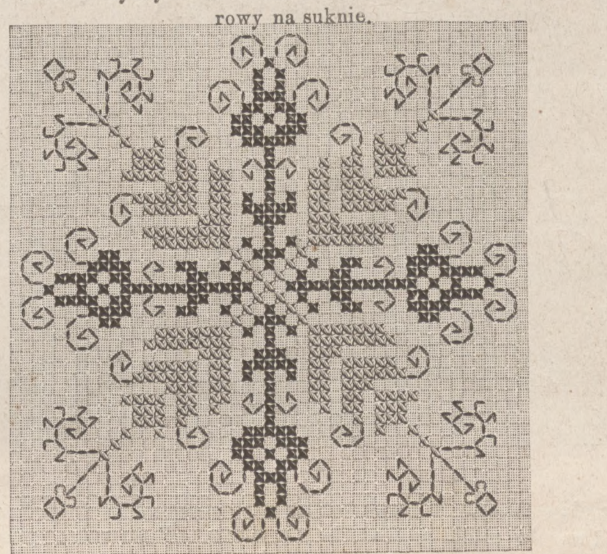
N. 27. Patarafka robiona na białem płótnie. Aplikacya i haft tamborkowy.



N. 28. Patarafka wyszywanana na płótnie szarem deseniowem.



N. 30. Przykrycie na stolik do szycia. Haft różnokolorowy na suknie.



N. 31. Kwadrat do haftu krzyżowego i ściegiem na dwie strony.

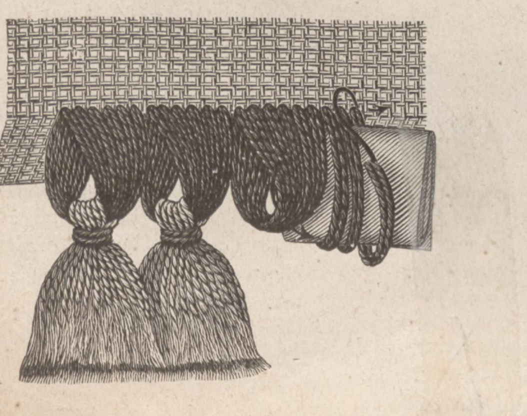
Opis do N. 45.

N. 4. Serweta ze skośnie ściętemi rogami haftowanemi ściegiem krzyżykowym.

Serwetę do przykrycia podłużnego stolika, albo do położenia na środku obrusa, najlepiej wyszywać bez podłożenia kanwy na białem umyślnie na ten cel wyrabianem płótnie gazowem albo przetakowem. Model miał 75 cent. długości a 39 szerokości, rogi ścięte były na 11 cent. długości; kratka ażurowa robiona na wyciągniętych nitkach, której paski krzyżują się w rogach mieć powinna 1—1½ cent. szerokości. Desenie do haftu krzyżowego dwoma lub trzema kolorami bawełny, i próbki kratki, w poprzedzających N-rach z roku bieżącego. Brzegi serwetki oszyć koronką nicianą 2 cent. szeroką.

N. 5. Zasłona do okien zesuwana na bok, ozdobiona haftem krzyżowym i kratką ażurową.

Firaneczki zesuwane zastępujące rolety robić można z białego, grubego i rzadkiego płótna domowej roboty. Wstawki 3 i 6 cent. szerokie, odznaczające się matowo, mogą być tkane fabrycznie, kolorami na tle białem, albo wyszywane ręcznie ściegiem zwanym tkackim, którego próbki podaliśmy w N. 34 na ryc. 39 i w N. 36 na ryc. 16 i 22. Między wstawkami dane są szlaczki haftu krzyżowego 7 centym. szerokie, zakończone wązką kratką ażurową i obrąbkiem pół cent. szerokiem. Nad szlaczkami na tle firanki wyszyte są skośnie gałązki, zajmujące na wysokość 54 krzyżyki. Brzeg dolny oszyty koronką nicianą 3 cent. szeroką.



N. 32. Próbka roboty frendzli do koszyka ryc. 37.

N. 6. Stora do okna ozdobiona kratkami, haftem dzierganym i koronką irlandzką. Próbka kratek na rycinie 19 w N. 44, a deseń haftu i koronki na dodatku z formami Fig. 64.

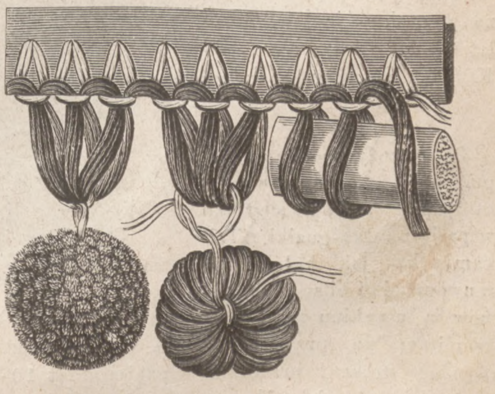
Długość i szerokość story dopasowana być powinna podług okna, tak ażeby od dołu sięgała aż do podłogi; za materyał służy cienka kanwa płócienna albo płótno gazowe. Liście dolne i pas górny deseniu podanego z narożnikiem na F. 64, robią się ściegiem dzierganym, sposobem gipiurowym, arabeskę zaś środkową pomiędzy kratkę gipiurową układa się z tasiemki koronkowej. Pas górny arabeskowy zakończający koronkę, umieszczony między dwoma rzędami tasiemki i złączony z niemi kratką gipiurową, stanowi wstawki pomiędzy pasami kratek, których układ wskazany jest na rycinie 6.

N. 7—8. Kokarda kwadratowa z szerokiej wstążki albo pekinu, zakończona jest szeroką frendzlą macramé robioną z kordonku jedwabnego w dwóch kolorach, podług próbki podanej na ryc. 8.

N. 9. Wycieraczka do piór ozdobiona łatwym haftem.

Postument wycieraczki jest z toczonego, czarno politurowanego drzewa, a kielich zapełniony szczoteczką do wsadzania piur, składa się z sześciu kwatarek tekturowych pokrytych szarem płótnem, na ktorym odrobiony jest haft filozelą do cieniu, albo w odmiennych kolorach. Brzegi kwaterek objęte są skórką czarną Formę jednej kwaterki i deseń haftu dajemy na Fig. 38.

N. 10 — 12. Pismosuszka ozdobiona haftem renaissance, odrobionym różnokolorowemi jedwabiami, na skórze czarnej



N. 33. Próbka roboty frendzli z kulkami do ryc. 37.

N. 13. Sukienka princesse ozdobiona szlakami haftowanemi dla młodej panienki.

Model sukienki z popielatego dyjagonalu, ozdobiony był szlakami kolorowo haftowanemi na białym kaszmirze. Draperya w górze odwrotnym szwem na spódniczce przy-



N. 35. Kapelusz z czarnego jedwabnego filcu, ubrany aksamitem i piórami.

szyta, u dołu jest w festony przemarszczana, z tyłu zakończona jest haftowaną patką i przepiętą węzłem i dwoma puklami.

N. 14. Suknia z pelerynką dla damy w podeszłym wieku.

Czarna kaszmirowa suknia z długą tuniką i stanikiem z baskiną, dodaną miała pelerynkę ozdobioną bogatą frendzlą. Spódnica ogarnirowana była dwoma fałdowanemi falbanami i plisowaniem trzy razy w środku przestębnowanem. Tunikę zdobiła koronka i pasmanterya przerabiana dżetem. Czepeczek z blondynowego tiulu ubrany wstążką w pasy białe i popielate.

N. 16. Ubranie spacerowe z długim paletotem.



N. 38. Płaszczyk z fałdami na plecach dla dziewczynki lat 6—8. Plecy na ryc. 39. Krój N. XII, Fig. 58—63a.

Pod przody dodane są długie części kamizelkowe na które paletot zapina się tylko w pasie na dwa guziki. Tak kamizelka jak kołnierz z ranwersami i plisy do rękawów są z pekinu w paski aksamitne; do przyozdobienia służą torsady przerabiane dżetem i frendzla. Krawa-



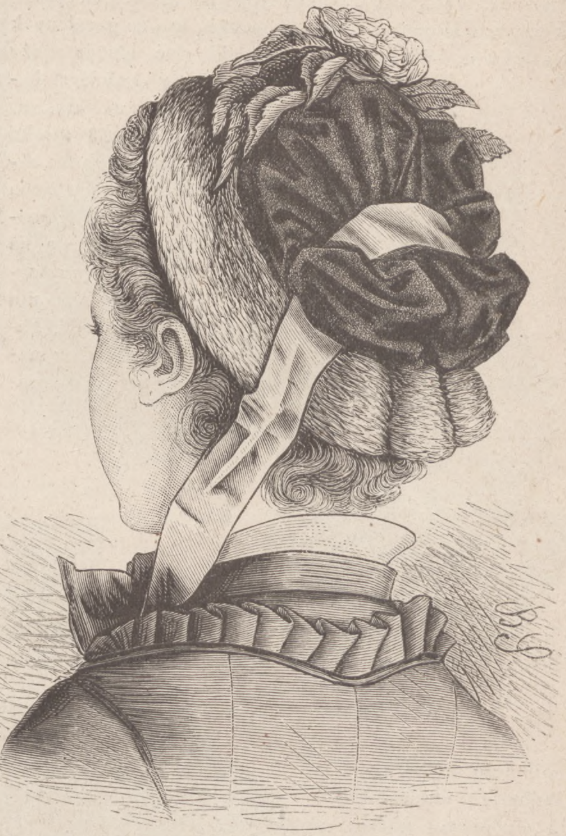
N. 34. Okrągły, czarny, aksamitny kapelusz z rondem podpiętem kwiatami.



N. 37. Kosz na roboty. Haft kolorowy na suknie. Patrz frendzle ryc. 32—33, deseń na Fig. 36—37.

tka koronkowa. Kapelusz biały filcowy ubrany „d'esprit" i koronką bretońską.

N. 18—41. Sukienka princesse ze spódniczką przyszytą do pleców, dla dziewczynki lat 1 — 3. Krój N. IX Fig. 50—53.



N. 36. Kapelusz z główką czarną aksamitną, bufowoną a rondkiem naszytem jasnemi piórami.

Wskazana forma zrobiona jest do sukienki pod szyję, podanej na ryc. 41, ale cienkie linijki oznaczają wycięcie do ryc. 18. Plecy zakończone puklami dopełnia spódniczka fałdowana, mająca 19 $^1/_2$ cent. długości a 60 szerokości. Model odrobiony z granatowego kaszmiru, przystrojony był szlakami 7 cent. szerokiemi, kolorowo w maszynie haftowanemi na aksamicie niebieskim; wypustkami z atłasu i guziczkami z konchy perłowej, nabijanemi srebrem.

N. 19 i ryc. 14 w N. 44 Tygodnika. **Ubranie** spacerowe z okryciem dolmanowem. Krój N. VIII Fig. 46—49a.

Okrycie odrobione z piaskowego „mousse" ozdobione było dużemi szmuklerskiemi guzikami i piękną frendzlą jedwabną ze sznelą. Zesta-



N. 39. Płaszczyk dla dziewczynki lat 6 — 8. Plecy do ryc. 38.

wienie pojedynczych części formy, wskazane jest na Fig. 36a—39a; szwy trzeba z lewej strony rozprasować i podszyć skośnemi listewkami z materyi. Kapelusz z orzechowego filcu, ubrany gazą takiegoż koloru i piórami.

(*D. ç. n*).



N. 40. Sukienka princesse dla panienki lat 10—12. Przód na ryc. 41.

N. 42. Ubranie z długim stanikiem bluzkowym dla panienki lat 10 — 12. Patrz ryc. 17 i 23 w N. 45.

N 41 Sukienka princesse dla panienki lat 10—12. Plecy na na ryc. 40.